

Dylizans [Anthro][Steampunk][Western]

Autor: Sun

Czy mieliście kiedyś tak, że ktoś was nie brał na poważnie? Odpowiadaliście historię, nawet całkiem prawdopodobną, o spotkaniu z kimś sławnym, albo o jakimś niecodziennym wydarzeniu, a mimo to nikt wam nie wierzył?

Z pewnością tak.

Każdy pewnie tego doświadczył. Nawet same księżniczki.

Apropo, słyszałem kiedyś właśnie taką anegdotkę o tym, jak księżniczka Celestia przyszła na przyjęcie lorda Leafa, ubrana w skromną suknię z peleryną skrywająca skrzydła, oraz modną wtedy, cieniutką woalkę na twarzy i nikt nie chciał jej uwierzyć, że jest księżniczką. Ba, niektórzy nawet besztali ją za udawanie księżniczki. Przynajmniej póki nie pokazała swych skrzydeł i nie odsłoniła twarzy. Księżniczka Luna wypadła na tamtym przyjęciu znacznie lepiej. Choć też doczekała się pewnej krytyki za swoją ekstrawagancką kreację, aczkolwiek nie w twarz. Widać goście bali się lotu na księżyc za stwierdzenie, że księżniczce nie przystoi pokazywać swego uda w rozcięciu długiej, czarnej sukni podkreślającej figurę.

Ale to materiał na inną, dłuższą i niezwykle ciekawą historię. Może nawet ciekawszą niż ta, którą dziś przygotowałem na dziś? Taką z wybuchami i w ogóle. Ale niestety nie mam jeszcze dość informacji z tamtego przyjęcia, by móc ją właściwie opowiedzieć, więc dziś mam dla was coś podobnego, ale nieco innego. Otóż, wyobraźcie sobie, że pewnego razu podobna sytuacja przydarzyła się Wrednej Szóstce, podczas napadu.

Wierzcie lub nie, ale mimo rewolwerów na wierzchu, groźnych min i złych zamiarów, nikt nie brał Twilight Sparkle i jej przyjaciółek za prawdziwe, groźne bandytki. Zostały uznane za element zabawy. Za miły przerywnik i dodatek do wycieczki krajoznawczej, jaką zorganizowało sobie kilku bogatszych mieszkańców Manehattanu. Jeśli dobrze pamiętam.

Wszystko to działo się dawno temu, kiedy jeszcze mało kto słyszał o Wrednej Szóstce. Wtedy na ustach był gang Filthy Kinga, albo banda spod Dry Rock Gulch. Nawet siostry Pie, choć martwe, były słynniejsze, niż jakaś tam Wredna Szóstka. Ta była wtedy raczej regionalnym problemem, z którym zmagali się szeryfowie dwóch, czy trzech miasteczek. Ale nie pamiętam ich nazw. To były takie, małe miasteczka jakich wiele na dzikim zachodzie.

Tak czy inaczej, mało znana Wredna Szóstka postanowiła pewnego razu, tak dla odmiany, napaść na dyliżans w zupełnie innym hrabstwie niż zazwyczaj działały. A pasażerowie... Byli z tego niezmiernie zadowoleni. Śmiali się, komentowali i nawet zrobili sobie zdjęcie z bandytkami.

Ale powoli. Przecież nie streszczę wam całej historii w trzech słowach. To by było nudne. Zatem nadstawcie uszu i rozsiądźcie się wygodnie. Bo choć opowieść nie jest pełna strzelania czy wybuchów, to może być nawet trochę zabawna. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Sześć uzbrojonych kobiet wędrowało powoli przez prerię. Szły bezładną kupą, rozglądając się i rozmawiając, jakby niczym się nie przejmowały. Bo w sumie tak było. Do najbliższych zabudowań było kilkanaście mil, a wojska się tu raczej nie uświadczało, więc jedynym grożącym im niebezpieczeństwem były zwierzęta.

– Powiedz, Twilight, czemu leżymy taki kawał? – jęknęła Rainbow Dash, drapiąc się po plecach.

– A jak, twoim zdaniem, mamy znaleźć się w punkcie naszej destynacji? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Twilight. – Naszym celem jest parowy omnibus przewożący potencjalnie wartościowy ładunek. A te, jak ci zapewne wiadomo, takie omnibusy w zasadznej większości przypadków wymagają dróg do przemieszczania się.

Rainbow jęknęła zrezygnowana. W zasadzie nie miała nic przeciwko dystansowi, ale wolałaby go pokonać na skrzydłach, własnym tempem, zamiast wlec się po ziemi jak jakaś łajza.

– Powinnyśmy ukraść jakiś wózek – rzuciła, rozprostowując skrzydła. – Jak już mamy łaźić po ziemi, to można by jechać.

– Bardzo dobry pomysł, moja droga – poparła ją nieoczekiwanie Rarity. – Przydałby się jakiś, w miarę luksusowy pojazd. Piasek i żwir źle wpływają na moje kopyta. Na buty też źle wpływają – dodała, zerkając na Applejack, która już otwierała usta.

– Nie mam nic przeciw takim spacerkom, ale faktycznie jakiś wózek byłby niegłupim pomysłem. Jakiś dobry pickup, albo coś w tym stylu, byle solidne. Mój kuzyn kupił kiedyś traktor do zwożenia jabłek na swej plantacji i w ogóle. I tak jak

byłam sceptyczna, to jednak jest to fajny sprzęt. Bardzo przydatny. Nie będę ukrywać, że ściągał większe wozy niż ja czy nawet mój starszy braciszek, kiedy jeszcze dychał.

– Nie chcę być niemila, moja droga, ale traktor z farmy to ostatnia rzecz, która przychodzi mi do głowy gdy pomyślę o luksusowym transporcie.

– No a pickupy są wolne – dodała Rainbow Dash. – Lepiej coś szybkiego, czym można będzie zwać spod banku. Jakąś rajdówkę, albo coś.

– To są problemy, które można obejść odrobiną pracy i wiedzy – powiedziała autorytarnie Twilight. – Ale zgadzam się, że dobry pojazd byłby korzystny w przyszłości. Zwłaszcza, że ułatwiłby wspomnianą rejteradę po sukcesie podczas większego skoku. A taki prędzej czy później wykonamy.

– Fajny pomysł – zgodziła się Pinkie. – Możnaby pomalować go w płomienie i króliczki. I mieć tam skrzynkę dynamitu, który mogłabym rzucać za siebie jak będziemy uciekać z banku. No i możnaby zamontować gramofon z wielkimi tubami. Żeby nam muzyka grała.

– To, wbrew pozorom, niezły pomysł, moja droga. A ty co o tym myślisz, Fluttershy?

– Nie przepadam za paromobilami – powiedziała wspomniana kobieta, wrywając się z rozmyślań o zwierzętach żyjących na tym terenie. – Są głośne i brzydko pachną. I płoszą zwierzęta. Poza tym, ja bardzo lubię chodzić. Naprawdę. Kiedyś często zdarzało mi się iść nawet cały dzień, podczas polowania, przystając tylko na popas. Pamiętam jak kiedyś, podczas polowania na stepowe krowy, widziałam wojskowe paromobile, które wpadły w środek pasącego się stada i wystraszyły je. Nic nie udało mi się wtedy upolować.

– Nikt nie mówi, że musisz wyruszać na polowanie pojazdem parowym. Ale nie zaprzeczysz, że by nam się przydał, Fluttershy.

– Um... Skoro tak mówisz, Twilight. Ale ja naprawdę lubię chodzić.

– A tak w ogóle, Twi, to czy nie było jakiejś, bliższej drogi? – spytała Applejack, zmieniając temat. – Znaczy, wiem, że się nie robi takich rzeczy za blisko chałupy, ale wiesz...

– Jak rzadko znów się zgadzam, moja droga. Z pewnością istniała droga bliżej i nie musiałybyśmy tak wcześnie wstawać. To źle robi na urodę.

– A ja tam lubię wczesne wstawanie – wtrąciła się Pinkie. – Jak jeszcze siedziałam z siostrami w kopalni, to czasami wstawałam dużo przed szychtą i robiłam jajówkę ze świeżych jaj sąsiada. Jakiś pół funta słoniny na skwarki i tak z dziesięć rozbełtanych jaj. Pyszota.

– Spora porcja – przyznała Rainbow, oblizując się ze smakiem. – Ale jeśli twoje siostry jadły tak jak ty, to się nie dziwię.

– Jadły. Ja zjadłam taką jajecznice i one też.

– Czekaj. Chcesz powiedzieć, że sama pożerałaś taką ilość? – spytała Rainbow Dash, stając w miejscu, zszokowana. Idąca z tyłu Applejack, wpadła na nią i razem poleciały na ziemię.

– No jasne – odparła różowowłosa, podchodząc do przyjaciółek by pomóc im wstać. – Przecież to małe, lekkie śniadanko.

– Lekkie? – jęknęła Rarity. – Na samą myśl o takiej jajecznicy czuję jak mi idzie w boczki.

– Nie zapominaj też o słoninie – przypomniała nieśmiało Fluttershy. – Pamiętam jak kiedyś Daddy Cricket przygotował zapiekane świstaki. To było tak dobre, że sama zjadłam całego. Do dziś nie mogę w to uwierzyć. Szkoda, że nie zapamiętałam przepisu – westchnęła.

– Dość dziewczyny. – Głos Twilight sprawił, że wszystkie zamilkły. – Ponieważ przez takie dywagacje mój żołądek zaczyna domagać się pożywienia. Najlepiej w postaci pieczonej wołowiny.

– No i to ja rozumiem! – powiedziała z entuzjazmem Applejack. – Stek to boskie danie. I nie ma, że nie.

– Szlachetnie urodzeni mieszkańcy Canterlotu by się z tobą nie zgodzili, moja droga.

– A co mnie obchodzą jakieś bogate dupowłazy Celestii – prychnęła blondynka. – Dla mnie, mogą se nawet żreć rybnie jaja albo nie wiem, ślimaki, ale kawał dobrze przyprawionego mięsa nic nie przebije. Z resztą jakby tym snobom pokazać dobrze wysmażony stek, albo porządną, wędzoną szynkę, to by się rzucili jak świniaki na kartofle.

– Dobrze, wystarczy, Applejack – zarządziła Twilight, zanim dyskusja znów rozgorzała na dobre. – Wieczorem zjemy dobry obiad, który przyszykujesz. Tymczasem proponuję omówić raz jeszcze nasz plan, ażeby być pewnymi działania. Fluttershy, Rarity i Applejack?

– Kładziemy się przy drodze i przykrywamy szmatami – powiedziały równocześnie, jak dzieci witające swoją nauczycielkę wchodzącą do klasy.

– Perfekcyjnie. Rarity, jak mniemam, zabrałaś nasze środki maskujące?

– Oczywiście – potwierdziła biała kobieta, wskazując na tobolek niesiony przez Applejack. – Niestety cudów nie ma, ale powinny działać.

– Powinny?

– To stare prześcieradła wygotowane w brudnej wodzie z obierkami ziemniaków. – Rarity wzdrygnęła się na samą myśl. – Powinno wystarczyć, ale daleko im do ideału.

– Miejmy więc nadzieję, że się sprawdzą – westchnęła Twilight, po czym podrapała się po głowie i poprawiła melonik. – Pinkie?

– Leżę na drodze i nie żyję.

– Przydałoby się – mruknęła Applejack, tak by nikt jej nie usłyszał.

– Dobrze. Rainbow?

– Kucam obok i lamentuję – jęknęła zrezygnowanym tonem. – A czemu to Rarity nie zatrzymuje tego dyliżansa. Jojczenie idzie jej lepiej niż mi. No i robi to codziennie. – Rainbow odwróciła się szybko, by się upewnić, że z jej pleców nie sterczy rękojeść noża. – A nawet jak nie, to wystarczy, że zdejmie koszulę, a każdy dyliżans stanie. I nie tylko dyliżans.

– Zazdrościsz? – spytała złośliwie Rarity, poprawiając wymownie granatową kamizelkę.

– Nie. Taki sprzęt jest mało... ten... aro... mamiczny?

– Aerodynamiczny – poprawiła odruchowo Twilight, wywracając oczami. – I nie, Rainbow, Rarity nie może lamentować nad ciałem Pinkie. Z elementarnego wręcz powodu. Na wypadek gdyby plan jednak nie zadziałał, najszybciej, spośród naszej szóstki, sięgasz po broń. Poza tym, rewolwer jest też nieco bardziej przekonujący od noża.

Rainbow wypięła dumnie pierś, zapominając o narzekaniu. Idąca za nią Fluttershy zachichotała cicho. Coś zwyczajnie sprawiało, że była w dobrym humorze. Aż miała ochotę śpiewać.

Po kolejnych pięciu minutach spaceru dotarły do drogi biegnącej przez środek prerii. Można by pomyśleć, że pośrodku niczego nie ma sensu robić dróg, ale tu, jak i w wielu innych miejscach, drogi robiły się same. Dyliżanse, wozy i karawany szły między dwoma miastami, obierając jedną, krótką, sprawdzoną i udeptaną trasę, która z każdym przemarszem stawała się bardziej udeptana. I choć sieć kolejowa coraz szybciej oplatała kraj, to wciąż nie była w stanie sprawić by miejscowi porzucili drogi. Na szczęście dla gangu Twilight.

Przywódczyni Wrednej Szóstki przystanęła na poboczu i rozejrzała się wokół. Nie tylko by sprawdzić, czy coś nie jedzie, ale by zobaczyć, czy w okolicy jest jakieś, szczególnie wygodne miejsce by przyszykować zasadzkę. Nie znalazła takowego, więc zarządziła, by schowały się tu gdzie dotarły.

Applejack wyciągnęła z torby cztery szmaty i rozdała przyjaciółkom. Pinkie położyła się na środku drogi i spróbowała wyglądać na jak najbardziej nieżywą. Jeden rzut oka upewnił Twilight, że jej różowowłosa przyjaciółka niewątpliwie nadawała się do przedstawień teatralnych. Szkoda jednak, że tylko do komedii.

Westchnęła, na widok przyjaciółki trzymającej w dłoniach lilię, ułożyła się na piasku i podkopała ziemię tu i tam, by móc wygodnie leżeć na brzuchu. Nakryła się starym, brudnym prześcieradłem w kolorze szarym. Ten kolor przypominał jej nieco szare namioty wojskowe z minionej wojny. Kilka takich widziała blisko domu, tuż przed samym jej końcem. Była wtedy jeszcze dzieckiem, dopiero wchodzącym w wiek młodzieńczy, ale już nie lubiła żołnierzy. Nie tylko dlatego, że przez nich nie zobaczyła już Big Maca.

– Matko, kiedy to było – mruknęła do siebie, naciągając szmatę na oczy. Zostawiła sobie tylko wąską szczelinę przy samej ziemi, by obserwować drogę.

Spojrzała przez szparę między tkaniną a ziemią i zobaczyła, że kawałek obok niej leży Fluttershy. W zasadzie to nie widziała samej Fluttershy, tylko fragment charakterystycznej, graniastej lufy jej spiłowanego winchestera, wystający spod prześcieradła maskującego. To oznaczało, że Twilight i Rarity czekają po drugiej stronie.

– Jestem gotowa – powiedziała Rainbow, wyrywając ją z rozmyślań.

– Perfekcyjnie – odparła Twilight. – Zatem czekamy.

– Oby ten dyliżans nadjechał szybko – mruknęła Rarity. – Ta ziemia jest brudna, a to prześcieradło śmierdzi. Że też nie użyłam mydła do prania. Albo chociaż nie spryskałam go perfumami.

– Spokojnie Rarity. Pamiętaj, że musimy pozostać w ukryciu. To elementarna część dowolnej matni.

Rarity mruknęła pod nosem coś o tym, że zapachu przecież nie muszą maskować, ale nie kontynuowała dyskusji. To i tak by nic nie zmieniło.

Na całe szczęście dla Rarity, ich gang nie musiał czekać zbyt długo. Po pół godziny, do czułych uszu Fluttershy dotarł charakterystyczny odgłos silnika parowego. A po chwili dołączył do nich turkot kół. Zaś po kolejnych kilku minutach, na horyzoncie zamajaczył niewyraźny kształt paromobilu. Wielkiego jak dom.

Fluttershy nie drgnęła. Była przyzwyczajona do długotrwałego oczekiwania w jednej pozycji. Wielokrotnie spędzała nawet kilka godzin, czekając aż zwierzyna wyjdzie pod celownik. Ale na tym potrafiło polegać polowanie. Na czekaniu.

Rainbow również dostrzegła zbliżający się pojazd. Grzmotnęła Pinkie, by ta przestała chrapać, po czym sprawdziła położenie rewolweru w kaburze. Wołała być gotowa, jakby przyszło do strzelania. A miała nadzieję, że przyjdzie. Od rana chciała postrzelać do ruchomych celów.

Wóz zbliżał się powoli i majestatycznie, niczym okręt płynący pośród prerii. Skojarzenie z resztą nie było przesadne, gdyż pojazd ten był wręcz monstrualny. Z przodu miał kabinę przesłoniętą prawdziwą, szklaną szybą i osłoniętą z góry ozdobnym, drewnianym daszkiem. Za nią zaczynał się długi na dwadzieścia pięć stóp... dom... na kołach. Bo jak inaczej można nazwać *skrzynię*, z oknami, w których wiszą firanki, okiennicami z wyciętym słoneczkiem, rynnami i dwuspadowym dachem, pod którym również było małe, okrągłe okienko osłonięte zasłoną w kwiatki. Całość osadzona na potężnej ramie, z dwiema osiami z tyłu i dwiema z przodu. A na każdej osi szerokie koła z gumowymi bandażami.

Rainbow patrzyła na zbliżający się wóz, nie kryjąc szoku. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak wielkiego. Bała się nawet, że kierowca może nie zauważyć jej, pochylającej się nad ciałem Pinkie i rozjechać je obie.

Obawy były jednak nieuzasadnione. Kierowca zatrzymał się jakieś pięć stóp przed nimi. Z resztą, nawet jakby tego nie zrobił, to i tak zmieściłaby się pod pojazdem, bo jego koła były na tyle wielkie, że podwozie było chyba dwadzieścia cali nad ziemią.

– Z drogi, łajzo! – krzyknął do niej kierowca, wychylający się z ciężarówki i machając na nią ciemnożółtym skrzydłem. To wystarczyło, by Rainbow się otrząsnęła z szoku i przypomniała sobie, co tu właściwie robi. – Środek niczego, a ty blokujesz jedyną drogę.

– Um, tego... Moja przyjaciółka upadła i jest nieprzytoma – jęknęła płaczliwie. Do Rarity było jej daleko, ale cóż zrobić. Twilight właśnie jej kazała lamentować, więc będzie lamentować. – Pomóżcie. Zabierzcie nas do najbliższego miasta. Proszę.

– Spadaj, nie mam miejsca – warknął.

– A z tyłu? Tam musi być dużo miejsca.

Z kabiny wychyliła się kobieta, trzymająca w ręce skróconą dubeltówkę. Spojrzała na Rainbow, na Pinkie, a potem na swojego towarzysza.

– Co jest?

– Jakaś kobitka i zwłoki blokują nam drogę. Chcą żeby je zabrać, ale nie ma jak. Choćbym chciał, to te zgredy ich nie wpuszczą. Poza tym i tak nie jedziemy do miasta.

– A co z tyłu? – spytała po raz kolejny Rainbow, choć już miała tego dość.

– Słuchaj, mała – zaczęła kobieta, opuszczając broń – ja bym cię nawet wzięła, ale to nie ode mnie zależy. Na pace mam ośmiu snobów pod krawatami, którzy was na pewno nie wpuszczą do środka. A miasto jest trzy mile stąd, tą drogą. Dasz radę dociągnąć swoją znajomą. Więc lepiej zejdź z drogi i spadaj, albo mój nerwowy kolega cię zaraz rozjedzie.

– Nie – odpowiedziała Rainbow, prostując się. – Wiecie co? Sram na was i wasz przerośnięty kibel na kołach A wiecie czemu? Bo to jest napad!

Na to hasło Pinkie usiadła, łapiąc strzelbę, na której leżała. Twilight i pozostałe dziewczyny wyskoczyły spod prześcieradeł, biorąc na cel kierowcę i jego pomagierkę. A wszystko to, zanim dwójka ludzi w szoferce zdążyła unieść broń i obronić siebie, oraz swój cenny ładunek.

– Bardzo dobra robota, Rainbow – przyznała Twilight. – Nie spodziewałam się, że pójdzie tak sprawnie. Choć mogłaś nie przeciągać dodatkowymi pytaniami.

– Dzięki, Twi.

– To chyba nie jest dyliżans pocztowy – powiedziała Applejack, podchodząc bliżej i przyglądając się wielkiemu wozowi. W rękach wciąż trzymała opuszczony karabin, – Albo jakiś taki dziwny. Z oknami i wogóle.

– Też nigdy takiego nie widziałam – przyznała Rarity, podchodząc od drugiej strony. W obu dłoniach trzymała noże do rzucania. – A nie chwaląc się, miałam okazję oglądać naprawdę luksusowe wozy. A nawet podróżować kilkoma.

– Patrzcie, ma komin – dodała Pinkie, wskazując w górę. Rainbow podążyła za jej wzrokiem i faktycznie zobaczyła komin wystający z dachu pojazdu. A na jego czubku był metalowy kołpak, jak na kominie od domowego piecyka.

– To paromobil – mruknęła Twilight. – One zawsze mają kominy.

– Nie taki głuptasie. Taki od piecyka. – Pinkie wskazała ponownie na mały, zadaszony komin. Tuż obok niego był znacznie wyższy i szerszy komin, zwieńczony okopconą, mosiężną koroną.

Kierowca i palaczka spojrzeli po sobie, zaskoczeni tym, dziwnym obrotem napadu. W końcu kobieta doszła do wniosku, że warto się stąd wydostać i ukradkiem szturchnęła kierowcę. Sama zaś zacisnęła palce na strzelbie i szybkim ruchem uniosła ją, by załatwić stojącą na drodze Pinkie.

I to był błąd.

Applejack dostrzegła ruch. Podrzuciła karabin do ramienia i strzeliła prawie bez celowania. Jej kula trafiła palaczkę w ramię, dzięki czemu śrut przeznaczony dla Pinkie poleciał gdzieś w bok.

Wtedy wszystko potoczyło się szybko.

Pinkie uniosła strzelbę do ramienia i wypaliła ze wszystkich luf w stronę okrągłego okna nad kabiną. Szkło rozprysło się jak deszcz, a z pojazdu dobiegł krzyk bólu. Rainbow uniosła oba rewolwery i załatwiła kierowcę czterema strzałami w klatę. Fluttershy dobiła jego rogatą pomocniczkę, po czym jednym ruchem ręki załadowała kolejny nabój do komory swojego spiłowanego winchestera.

Paromobil nie pokonał nawet jardu, gdy już było po wszystkim.

W tym samym momencie, okno z boku tego domu na kołach się otworzyło i wyjrzała przez nie głowa jakiegoś dżentelmena z przylizanymi, ciemnozielonymi włosami i z monoklem w złotej oprawie.

– Czy coś się stało? – spytał, rozglądając się wokół. – Dlaczego stoimy?

Jego wzrok zatrzymał się nagle na trupie kierowcy, który wypadł z szoferki, a później wrócił do sześciu kobiet z niższych sfer, które dotychczas pomijał. Dostrzegł ich zacięte miny, oraz broń w dłoniach. Jego umysł szybko ułożył z tych elementów konkretny obraz. Obraz, który pozornie nie wzbudził w nim żadnych emocji.

– Jak rozumiem, to jest napad?

– Owszem – powiedziała Twilight, unosząc rewolwer i celując w jego stronę. Jednak bardzo długa lufa też nie spowodowała reakcji. – To jest napad.

– Aha. Wspaniale.

Twilight nie dała po sobie poznać, że jest zaskoczona tymi słowami. Podeszła do mężczyzny i złapała go magią za kołnierz, przyciągając do siebie.

– Jak wejść do tego, mobilnego przybytku? – spytała, ze spokojną, zimną i niczym nie wzbudzaną złością. Doświadczenie nauczyło ją, że w wielu wypadkach warto na początku okazać nieco agresji oraz powymachiwać bronią. Potrafiło to przekonać nawet najodważniejszych do poddania się i oszczędzić sobie... bałaganu.

– Z tyłu są drzwi – wyjaśnił uprzejmie jegomość. – Czy mam uprzedzić pozostałych o napadzie?

– Pozostałych? Ilu?

– W sumie jest nas ośmiu – odpowiedział, uśmiechając się, jakby chciał by dzięki temu jego słowa wzbudziły większe zaufanie.

– Tylko ośmiu? – zdziwiła się Applejack. – Znaczy, ja bym nie chciała mieszkać w ośmiu w takiej chałupie, ale to w sumie wóz, więc pewnie wlałoby tam drugie tyle ludu.

– Wiesz, Applejack, podróż w luksusach wymaga trochę przestrzeni. Poza tym, zapewne są tam duże i wygodne meble, które zajmują trochę miejsca. Nieprawdaż?

– Owszem – potwierdził jegomość. – Jest również mała kuchnia, stół, oraz chłodziarka do win.

– Wystarczy – ucięła Twilight, pociągając magią za kołnierz wychylającego się przez okno jegomościa, by znów zwrócić na siebie jego uwagę. – Za chwilę wejdziemy do środka. Radzę się natychmiast poddać. W przeciwnym razie ja i moje towarzyszki nie zawahamy się was spacyfikować. Tak skutecznie jak uznamy to za stosowne.

– Oczywiście, drogie panie. To zrozumiałe.

Brutalnie wepchnęła go do środka i odwróciła się do swoich przyjaciółek.

– Strasznie spokojny był – stwierdziła ostrożnie Applejack. – Nie podoba mi się to.

– Ta, mnie też. Rozwalmy ich i będzie spokój.

– Wygodniej się przeszukuje żywych – zaproponowała Rarity. – Poza tym z żywymi jest więcej zabawy.

– Um, też myślę, że nie ma sensu chwilowo ich zabijać. Jak zaczniemy, to się zdenerwują i mogą odpowiedzieć ogniem, albo...

– Nie mam zamiaru ich likwidować. Jeszcze – powiedziała Twilight, uśmiechając się nieco złowieszczo. – Jestem niezmiernie ciekawa, kto podróżuje tak ekstraordynaryjnym wehikulem po tej surowej ziemi. A sądząc po pierwszym z jego pasażerów, to mogą być osobnicy raczej bogaci. Na przykład bankierzy. Dobra, Rainbow, przeleć się po okolicy i zerknij czy ktoś się nie zainteresował strzałami.

Tęczowowłosa uśmiechnęła się, rozłożyła skrzydła i wzbiła się w powietrze. Szybko osiągnęła trzydzieści stóp i zaczęła się oddalać, obserwując okolicę. Pozostałe bandytki patrzyły na nią póki nie zniknęła na tle błękitnego nieba.

– Posłałaś ją w niebo, by nie jęczała, że chce polatać? – spytała złośliwie Applejack.

– Między innymi. Rarity, Pinkie, chodźcie ze mną. Zobaczymy, kto tu podróżuje. Applejack i Fluttershy, chciałabym żebyście przypilnowały najbliższej okolicy i w razie czego, pomogły nam, gdyby we wnętrzu zrobiło się gorąco. Nie spodziewam się, ale nie wykluczam.

– Spoko – potwierdziła dość entuzjastycznie Applejack.

– Tak – dodała Fluttershy.

Twilight ruszyła spieszonym krokiem w stronę tyłu pojazdu. Podeszła do dość skromnie zdobionych drzwi, spojrzała na Rarity i Pinkie, po czym, bez pukania, nacisnęła klamkę. Widok jaki jej się ukazał był daleki od tego, co spodziewała się zobaczyć. I to nawet mimo analizowania tuzina prawdopodobnych opcji, związanych z jegomościem w oknie, oraz tym pojazdem.

Wnętrze parowego omnibusa wyglądało jak pokój gościnny. I to nie byle jaki. Na ścianach wisiały obrazy olejne i trofea z głowy jelenia, oraz wilka. Podłogę pokrywał gruby, wzorzysty dywan. Z sufitu zwisał najprawdziwszy żyrandol, wyposażony w prawdziwe, zasilane energią elektryczną, żarówki. Widać ten wóz miał nawet mały generator podpięty do silnika. Jednak najdziwniejszy był stojący na środku, okrągły, drewniany stół, otoczony przez osiem wygodnych foteli obitych czerwonym suknem. Każdy szeroki, z wysokim oparciem i miękkimi podłokietnikami po obu stronach. Jednak mimo ich gabarytów, między nimi było dość miejsca by ktoś mógł podejść. A w każdym z tych wielkich i niewątpliwie wygodnych foteli siedział gustownie odziany człowiek i patrzył w ich stronę. Niektórzy nawet trzymali w uniesionych rękach kieliszki z winem.

Ten widok wprowadził bandytki w niemałe osłupienie. Zaś całości szoku dopełniały miny napadniętych. Albowiem nie wyglądali oni na zaskoczonych, przerażonych, czy zrozpaczonych niewypowiedziana groźbą utraty majątku oraz śmierci. A przynajmniej nie szczerze, bo kilku z nich udawało szok, aczkolwiek niewprawnie. Większość jednak patrzyła na Twilight i resztę jak na kogoś spodziewanego a nawet... oczekiwanego.

– Dzień dobry paniom – zagadnął mężczyzna, siedzący najbliżej drzwi. To był ten sam, który wcześniej wychylał się z okna. – A zatem to jest ten wspomniany napad, nieprawdaż?

– Owszem – oznajmiła nieco zaskoczona Twilight, unosząc rewolwer. – A teraz wysiadać z rączkami i skrzydłami w górze! W przeciwnym razie będziemy strzelać.

– Dokładnie – poparła ją Rarity, przestając skupiać się na obrazach, które zakwalifikowała jako urocze, ale raczej niespecjalnie wartościowe landszafty. W dłoni obracała jeden z noży do rzucania, jakich cały pas miała przewieszony przez pierś.

– Cudownie. Cóż za wspaniały przypadek. – Ciemnoniebieski mężczyzna obok niego poprawił ostrożnie okulary, po czym odwrócił się do pozostałych. – Nieprawdaż, moi drodzy?

Pozostali skwapliwie pokiwali głowami.

– Rozumiem, że nie można z tym poczekać aż skończymy posiłek? – zapytała inna pasażerka, uśmiechając się ukradkiem do Pinkie, która z głodem w oczach patrzyła na suto zastawiony stół. – Te wspaniałe rogaliki z masłem smakują zdecydowanie lepiej na ciepło.

– Eeee, nie – powiedziała Twilight, kompletnie zaskoczona pytaniem. Szybko się jednak otrząsnęła, uniosła rewolwer i wystrzeliła w sufit. – Wysiadać. Natychmiast! I bez żartów. To jest napad, a nie jakieś przedstawienie dla gawiedzi!

– Oczywiście.

Mężczyzna powstał powoli i ruszył w stronę bandytek. Pozostali poszli za jego przykładem, zachowując spokojny, wręcz flegmatyczny krok. Zupełnie niespodziewany u kogoś kogo właśnie napadnięto. Co więcej, rozmawiali ze sobą szeptem, jak gdyby to nie był napad, tylko wyjście do baru naprzeciwno.

To wszystko sprawiało, że Rarity z niepewnością patrzyła na zbierającą się w szereg grupę. Zastanawiała się, o co chodzi. I choć ufała, że Twilight rozumie sytuację i ma plan, to nie chciała w stu procentach polegać na przyjaciółce. To, nawet przy wspaniałym umyśle Twilight Sparkle, prośenie się o kłopoty.

– Boję się – jęknęła półgębkiem jakaś kobieta, kierując to do mężczyzny przed nią. – To wygląda groźnie, jak prawdziwy napad.

– Spokojnie, panno Sandy Beach. To niewątpliwie inscenizacja i do tego pierwszorzędna – odparł uspokajająco idący przed nią mężczyzna, nieznacznie tylko odwracając głowę w jej stronę. – Sądzę, że nawet broń jest prawdziwa. A te noże wyglądają jak dobrze naostrzone. Cudowne.

– Poza tym, kobiety nie mogą być obmierzłymi i groźnymi bandytkami – stwierdził starszy mężczyzna idący przed nim. – Są na to zbyt delikatne i zbyt spokojne.

– To chyba nie ma pan żony – mruknął mężczyzna z tyłu i od razu jęknął, gdy idąca za nim małżonka kopnęła go w nogę.

– Poza tym, słyszy się przecież od czasu do czasu o bandytkach. Jak chociażby ta indianka, jak jej tam było... ta która zebrała własny gang. Albo siostry Pie.

– Ja słyszałem, że siostry Pie to mężczyźni, którzy przebierają się za kobiety by być nieuchwytni.

– To mi przypomina jak kiedyś byłam na takim przyjęciu z morderstwem. I tam...

Pod koniec tego powolnego, gadatliwego i modnie odzianego pochodu szedł pulchny jegomość o nalanej, pozbawionej wyrazu twarzy wykrzywionej w grymasie niezadowolenia. Nie odzywał się on i nie komentował tego zdarzenia. Sprawiał jednak wrażenie jakby cała ta sytuacja była wyłącznie zwykłym, nieprzyjemnym i irytującym zjawiskiem, na które będzie można ponarzekać w gronie rodziny i znajomych. Zatrzymał się przy Twilight i spojrzał na nią czymś, co pewnie miało być obrzydzeniem, albo pogardą.

– Nie przypominam sobie żeby w broszurze biura podróży była mowa o napadzie. Z pewnością jej tam nie było i mój prawnik się o tym dowie.

– Bardzo mi z tego powodu wszystko jedno – odparła Twilight, a stojąca obok Pinkie z uśmiechem szturchnęła go, kolbą w plecy.

– Pożalujecie tego. Mój prawnik załatwi waszą firmę tak, że się nie wypłacicie. Zapłacicie mi za każdego siniaka, którego znajdę – prychnął, ruszając dalej.

Twilight wywróciła oczyma, maskując pewne niezrozumienie dla sytuacji. Jeszcze nigdy nikt tak nie reagował na napad. Zazwyczaj napadnięci krzyczeli, uciekali, albo sięgali po broń, zamiast gadać takie bzdury. Coś tu było ewidentnie nie tak.

– Proszę się nim nie przejmować – powiedziała idąca na samiućkim końcu młoda ciemnobrązowa kobieta, uśmiechając się ciepło do Twilight i Rarity. – To straszny gbur. Nie wiem po co pojechał na wycieczkę. Narzeka na wszystko. Na jedzenie, wyboje, hotel... Więc lepiej niech go panie nie słuchają i robią swoje.

– Aha – skwitowała Rarity, patrząc na nią spode łba. – Wysiadka paniusiu. Szybko – dodała, machając w jej stronę nożem. Pinkie poparła ją wbijając lufy strzelby między skrzydła kobiety. Ta zaś uśmiechnęła się tylko i posłusznie wyszła.

Bandytki wyszły zaraz za napadniętymi i poprowadziły ich obok wozu. Tam Applejack i Fluttershy wzięły pasażerów na cel. Zaś siedząca na dachu omnibusa Rainbow Dash obserwowała ich plecy, bawiąc się ostentacyjnie rewolwerem.

Na widok takiej ilości luf wycelowanych w siebie, rozmowy między turystami ucichły. Niektórzy rzucali ukradkowe spojrzenia na tęczowowłosą bandytkę za

plecami, ale jej mina skutecznie do tego zniechęcała. Inni zaś przyglądali się kobietom przed nimi, lub ukradkiem rozglądali się po okolicy.

– Niezła menażeria, co – podsumowała Applejack, wodząc rewolwerem po zgromadzonych. – Co to za jedni? Wyglądają trochę jak ty Rarity, kiedy się odstawisz.

– Wyglądają na mieszkańców Canterlotu – odpowiedziała Rarity, nie reagując na przytyk.

– W zasadzie, pochodzimy z Manhattanu. Ale doceniamy komplement – potwierdził jeden nich, stojący najbardziej z lewej. – Wyruszyliśmy by zapoznać ten piękny, Dziki Zachód, który dotychczas znaliśmy z opowieści, albo książek. Wraz z jego wszystkimi, słynnymi elementami. Jak...

– Wystarczy – ucięła Twilight. – Domyślałam się, że jesteście z dużego i ludnego miasta, lecz fascynuje mnie, cóż takiego warto tu obejrzeć?

– Wszystko. Te piękne, rozległe prerie, małe, sielskie miasteczka, szerokie pastwiska, czy dziką, nieskrępowaną niczym przyrodę, o zaskakującej pogodzie nie wspominając. No i oczywiście przeżyć to, co dla ludzi tu mieszkających jest codziennością. Jak właśnie napad.

– To macie szczęście, nie ma co – skwitowała Applejack. – Obyście mieli go dość, by opowiedzieć o tym dzieciom.

– Cóż, droga pani, liczymy na to szczęście – powiedział, mrugając do niej porozumiewawczo. Ale sądząc po minie, Applejack nie zrozumiała o co mu chodzi. Ale może to i lepiej.

– Dobra, wystarczy – powiedziała Twilight. – Oddawać broń. Powoli i bez kombinowania. I bez magii. Jeśli ktoś się nie zastosuje, może zostać zastrzelony.

Turyści niespiesznie zaczęli sięgać do pasów, kieszeni i torebek. Po chwili wyciągali z nich broń, którą ostrożnie kładli na ziemi. Nikt nawet nie próbował nią rzucać, czy strzelać do Twilight. Pełna, nieco flegmatyczna kultura, o której typowy rzezimieszek może tylko pomarzyć.

Arsenał turystów składał się z siedmiu zdobionych deringerów różnego rodzaju i jednego rewolweru typu pieprzniczka, wyglądającego jakby został wykonany w przydomowym warsztacie, a nie w prawdziwej pracowni rusznikarskiej. Jednak późniejsze oględziny tej broni przez Twilight, Rarity i Fluttershy ujawniły, że był to bardzo specyficzny pistolet, wzorowany tylko na produkcji stodołowej. Jakość materiałów, dokładność wykonania, oraz specyficzne rozwiązania wskazywały na wykwalifikowanego rusznikarza, który wiedział co robi. Nawet niewielki, rozkładany bagnet był, zdaniem Rarity, bardzo skuteczny.

W tej jednak chwili Twilight zaszczyciła tą broń jedynie przelotnym spojrzeniem, zanim zgarnęła ją magią i wrzuciła do małego plecaka trzymanego przez Fluttershy. Niezbyt delikatnie, sądząc po metalowym brzdęku.

– Myślicie, że potem odzyskamy broń? – spytała szeptem kobieta w wielkim kapeluszu z taką ilością piór, że mogłaby udawać wodza indian. – To był prezent od jednego z moich... mężów.

– Oczywiście, że tak. Przecież to tylko pokaz – odparł również szeptem. – Byłem kiedyś na podobnym. Takie przyjęcie z morderstwem. Bardzo popularne w pewnych kręgach. Pewnie słyszała pani.

– Ciszej, nie psujcie zabawy – syknęła inna kobieta.

– Jakiej zabawy? – spytała nieco nazbyt entuzjastycznie Pinkie. – Lubię zabawę. Zwłaszcza taką z fajerwerkami. A co to za zabawa? Będą fajerwerki?

– Um... Napad?

– Ale to prawdziwy napad. Choć w sumie napad to świetna zabawa. Przynajmniej ja się świetnie bawię podczas napadu. A ty, Dashie?

– Ta – odparła siedząca na dachu Rainbow, ściągając na siebie spojrzenia turystów. – Ja też. Zwłaszcza jak się kończy smęcenie, a zaczyna strzelanie. Bo wiesz, jestem najszybsza w Equestrii. Nikt mi nie dorówna. Załatwiłabym ich wszystkich zanim by zauwazyli.

– No jasne.

– Wystarczy – warknęła Twilight. – Zapewniam, że napad jest jak najbardziej prawdziwy. Broń również. I jeśli zajdzie taka potrzeba, zostanie użyta zgodnie z przeznaczeniem. A przynajmniej zgodnie z jednym z przeznaczeń – dodała, widząc, że Pinkie otwiera usta.

Turyści skwapliwie pokiwali głowami, ale ich spojrzenie wyrażało: „Tak, każdy aktor by tak powiedział”.

– A teraz oddawać portfele i portmonetki. Ty też paniusiu – dodała, patrząc wymownie na chudą, nieco „zasuszoną” kobietę w kapeluszu, która nerwowo ścisnęła w dłoniach torebkę.

Wspomniana kobieta zadrżała i przycisnęła torebkę do piersi, jakby to był najcenniejszy skarb jaki miała. Stojąca najbliżej Applejack podeszła do niej i bezceremonialnie wyrwała jej przedmiot z dłoni, mało nie przewracając samej damy. Niedbałym ruchem otworzyła torebeczkę i zajrzała do środka. To co zobaczyła było zaskakujące. Nawet dla niej.

– No ładnie – mruknęła. – To takie rzeczy trzyma się w torebce? Poważnie. Weź no zerknij na to, Rarity. Bo ja torebek nigdy nie nosiłam i w sumie nie wiem co się tam trzyma, ale nie sądzę by tam trzymać takie rzeczy.

Wspomniana bandytka podeszła i niedyskretnie zajrzała do środka. Widok sprawił, że aż zagwizdała z wrażenia. Jej również ten widok wydał się być niecodzienny.

– Przyznaję, widziałam zawartość wielu torebek, ale, faktycznie, w żadnej nie było *takich* rzeczy.

Drżąca kobieta zarumieniła się, gdy Rarity wyciągnęła ze środka niewielki grzebyk z rogu Indianina, a po nim krótką, misternie zdobioną, indiańską fajkę. Jednak najbardziej zaskakująca rzecz kryła się pod nimi.

– Cukierki? – powiedziała Rarity, wyciągając jedno zawiniątko. Przez chwilę trzymała je przed sobą w telekinetycznym polu i oglądała ze wszystkich stron. Wyglądał wprawdzie jak najzwyklejszy karmelek w woskowanym papierku, ale budził pewne wątpliwości. W końcu, jaka bogata dama z towarzystwa trzyma w torebce karmelki? I to podczas takiej wycieczki. Prędzej Rarity by się tam spodziewała złotych monet, chustki do ocierania łez wzruszenia, wiecznego pióra, zdobionej zapalniczki, czy też laudanum. Chyba, że...

Przez chwilę wahała się, czy go otworzyć i to sprawdzić, ale po namyśle zrezygnowała. Jakoś specjalnie nie przepadała za karmelkami. Zwłaszcza takimi, znalezionymi w torebkach starszych pań. Co innego Pinkie. Ona chętnie przetestuje taki wynalazek. Aczkolwiek może lepiej nie teraz. Zwłaszcza jakby to faktycznie był cukierek z „nadzieniem”.

Rarity rzuciła torebeczkę Pinkie, która złapała ją w locie. Fajkę i grzebyk schowała do małej torby przerzuconej przez pierś, by później porozmawiać o nich z Fluttershy.

– Szybciej – warknęła Twilight, czując, że cała sytuacja robi się dziwna. Spodziewała się dylizansu pocztowego, a nie takiego z „turystami”. Z drugiej strony, to mogło się opłacić. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Turyści mruknęli coś i zaczęli sięgać po wspomniane rzeczy. Wszyscy, zgodnie z poleceniem używali rąk, choć tym przyzwyczajonym do magii nieco one drżały, więc cały proces jeszcze bardziej się przedłużał. Lecz niezależnie od tego, Applejack wyrwała im przedmioty i wrzucała do jednej torby, nawet ich nie oglądając. Później to zrobią.

Co zaskakujące, większość oddawała swoje pieniądze z pewnym uśmiechem. Zupełnie jakby byli zadowoleni z tego, że zostali napadnięci. I nie przerażały ich ani

spojrzenie Pinkie, czy Twilight, ani też klikanie rewolwerów, którymi bawiła się za ich plecami Rainbow Dash.

Jedynym wyjątkiem był ten jegomość słusznej postury, który już wcześniej groził Twilight sądem. Gdy Applejack podeszła do niego, prychnął tylko i nawet nie kiwnął palcem.

– Co jest wieprzku? Specjalne zaproszenie? – warknęła blondwłosa bandytka, dźgając go rewolwerem.

– To skandal – burknął. – To barbarzyństwo, tak traktować ludzi. Czy ty wiesz kim ja jestem, paniusiu?

– A co mnie to obchodzi grubasie. Dawaj forszę – warknęła po raz kolejny. – A może mam ci ją sama zabrać?

– Bzdura – odparł, po czym chciał odtrącić ją ręką i odejść. Był to jednak błąd, gdyż Applejack uchyliła się zwinnie, po czym zatarasowała mu drogę i bez słowa uderzyła pięścią w jego brzuch.

Mężczyzna jęknął i zatoczył się do tyłu, wpadając na ścianę wozu. Ustał jednak na nogach i zdołał nawet rzucić Applejack mordercze spojrzenie.

– Mój prawnik was zniszczy – wycodził przez zęby.

– Ta, to niech tu przyjdzie i cię ocali – zaśmiała się Applejack, a Rainbow jej zawtórowała. – A teraz dawaj forszę, zanim moja przyjaciółka Rarity połaskocze cię nożem po żebrach.

Mężczyzna warknął coś o hołocie, ale sięgnął do kieszeni i rzucił jej portfel w twarz. Niestety z efektu nic nie wyszło, bo bandytka zręcznie złapała przedmiot i bez oglądania wrzuciła do torby, po czym poszła dalej.

W zasadzie, Applejack nie była wtedy pewna, co zrobi grubas, widząc jej plecy. Miała jednak pełną świadomość, że jej przyjaciółki zadziałają. Rainbow może go zastrzeli, Twilight może chwyci magią i wyrzuci na kilka metrów w górę, a Rarity może rzuci tym swoim nożykiem. Tak czy inaczej, czuła się bezpiecznie mimo tego buraka za sobą.

Po chwili zabrała ostatni portfel, wrzucając go do worka. Przelotnie spojrzała na mężczyznę, który zrobił krok w miejscu i uśmiechnął się do niej przepraszająco.

– Um, ale później dostaniemy portfele z powrotem? – zapytał nieśmiało.

Zanim Applejack zdążyła znaleźć odpowiedź na to głupie pytanie, odezwała się skrzydlata kobieta stojąca obok niego.

– Przecież to napad – przypomniała, podśmiewając się nieco. – Może by jeszcze miały dołożyć pół bita na piwo?

– No nie. Ale... bardzo lubiłem ten portfel. To prezent – przyznał smutno. – Bardzo chciałbym go odzyskać. Może być bez zawartości.

– Chcesz go z powrotem, co? – spytała Applejack, machając mu przed oczami portfelem, który zręcznie wyłowiła z worka. Jegomość wyciągnął rękę po niego, ale bandytka uniosła go w górę, poza jego zasięg, po czym ze śmiechem rzuciła przyjaciółce. – Powiedz, Rarity, czy to jest coś warte?

Biała kobieta przechwyciła portfel magią, wyciągnęła z niego plik banknotów, który schowała w dekolcie, a następnie przeszła do oględzin. Przyjrzała się przetłoczeniom, pogładziła palcami zewnątrz oraz wyściółkę. Następnie zajrzała do kieszonki z bilonem, który przesypała do kieszeni.

Podczas gdy Rarity przyglądała się portfelowi z cielecej skóry, jeden z mężczyzn stojący po drugiej stronie szeregu uśmiechnął się ciepło do Fluttershy i pomachał do niej ukradkiem. Kobieta obok niego momentalnie się odwinęła i trzasnęła go w łeb, aż zadzwoniło. Fluttershy i Pinkie skrzywiły się, widząc ból na twarzy jegomościa.

– Au! – jęknął, łapiąc się za głowę. – Za co to było?

– Już ty dobrze wiesz za co! – warknęła, kompletnie nie przejmując się stojącą obok Twilight, oraz innymi bandytkami, mierzącymi do niej. – Jeśli nie przestaniesz się ślinić do tej, różowowłosej lafiryndy, to przysięgam, że jak wrócimy zobaczysz dokumenty rozwodowe.

– Ależ ja się nie ślinię, kochanie – odparł mężczyzna, a w jego głosie było słychać przepraszające tony. – Po prostu biedaczka wygląda jakby się bardzo denerwowała, więc chciałem dodać jej trochę otuchy. I tyle.

– Już ja wiem, co byś chciał, zboreźniku jeden! Myślisz, że nie wiem, co kombinujesz w pracy? Że te twoje ważne sprawy firmy mają wielki zad i imię Rubby Flash?

– Ale...

– Spokojnie, panno Ivory Wheel. – Niski mężczyzna stojący najbardziej po prawej próbował jej przerwać, ale niezbyt mu to szło. – Przecież to tylko wycieczka. Dajmy sobie odrobinę wolności. Nic się nikomu od tego nie stanie.

– Wolności? – wtrąciła się kobieta od indiańskiej fajki. – Są jednak pewne granice, panie Silver Buckle! Jeśli wszyscy by sobie zanadto folgowali, Equestrię

opanowałyby rozpusta i degrengolada. Trzeba zachowywać standardy. Zwłaszcza wśród nas, elit. Powinniśmy świecić przykładem dla pospólstwa.

– Faktycznie, ale może odłożmy to na później – sugerował inny mężczyzna poprawiając monokl. – Może lepiej nie przeszkadzać aktorkom. W końcu one są tu dla nas i na pewno przeszkadza im tego typu sprzeczką.

– A trzeba przyznać, że dobre znaleźli – szepnął do niego ten niski człowieczek z szerokim, krótkim rogiem. – Ta różowa wygląda troszkę jak Pinkie Pie, z gangu siostr Pie – dodał, ewidentnie nie wierząc w rewelacje o tym, że siostry Pie są braćmi.

– Fakt, z twarzy uderzające podobieństwo. Ale jest chyba trochę niższa. I chudsza. Zwłaszcza w... wiadomych miejscach. Przecież prawdziwa Pinkie Pie miała podobno sześć stóp wzrostu i... dużą strzelbę.

– Czy ja wiem? Plotki wyolbrzymiają wiele rzeczy. Jak chociażby te plotki o mikrym wzroście księcia Blueblooda. Spotkałem go w rzeczywistości i choć faktycznie jest poniżej średniej, to daleki byłbym od nazywania go karłem.

– Zapewne te plotki rozsiewali ci, którzy stali daleko.

Bandytki patrzyły na to z mieszaniną niedowierzania i zdenerwowania. Takie rzeczy się nie działy. Nawet w książkach. Nigdy, podczas ich napadu na sklep, wóz, czy bank, napadnięci nigdy nie prowadzili dyskusji o moralności, czy nie nazywali ich aktorkami.

W końcu Twilight westchnęła i przywołała wszystkie do siebie, na małą naradę.

– Nie boisz się, że uciekną, albo co? – spytała Applejack, gdy wszystkie bandytki zebrały się w wąskie kółeczko. Razem z Rainbow rzuciły kilka szybkich spojrzeń w stronę jeńców, ale nie mogły mieć ich stale na oku. Z drugiej strony nic nie wskazywało na to, by była taka potrzeba. Większość z turystów skupiła się w wąski krąg, dyskutując zawzięcie na temat obyczajów.

– E tam. Strzelam szybciej niż oni biegają – rzuciła Rainbow, wyciągając rewolwer i od razu go chowając. – Więc nie uciekną.

– Z resztą... chyba są zbyt zajęci sobą – zauważyła Fluttershy, którą cała ta sytuacja zaczynała powoli niepokoić. – Nie rozumiem, co tu się dzieje. To dziwne.

– Spokój dziewczyny – powiedziała Twilight, by przywołać je do porządku. – Nie mamy czasu na czcze rozmowy. Cała ta sprawa faktycznie wygląda niecodziennie i nawet u mnie wzbudza pewne obawy.

– Mnie również to się nie podoba – przyznała Rarity. – Ale pewnie masz jakiś plan na taką sytuację, prawda?

– Nieszczególnie – przyznała fioletowowłosa, machinalnie poprawiając okulary. Pozostałe kobiety spojrzały na nią w osłupieniu. Jeszcze nigdy Twilight nie przyznała się przed nimi, że nie ma planu. Zawsze, nawet gdy podczas napadu na sklep jubilerski przyjechał oddział kawalerii, Twilight miała przebojowy i skuteczny plan, który pozwalał im wyjść z sytuacji w jednym kawałku. – Póki nie zrozumiem, o co im chodzi z tą kwestią aktorek, nie jestem w stanie opracować stuprocentowo skutecznego rozwiązania. Dlatego też daleka jestem od jednoznacznego stwierdzenia, że posiadam skuteczną solucję dla naszej sytuacji.

– To może ich rozwalimy i po kłopocie – zasugerowała Rainbow, która, zrozumiała z tego tyle, że Twilight nie ma pomysłu czemu te dziwaki tak gładzą. – Nie ma po co się zastanawiać co oni kombinują, tylko po prostu ich załatwić i święty spokój.

– Świetny plan, a jaka zabawa. Można by ich wysadzić. – Pinkie zachichotała i złamała strzelbę. Szybko jej mina zrzedła, kiedy dostrzegła, że zapomniała przeładować i przez cały ten czas jej lufy były puste.

– Z zabijaniem zdążymy. Wolałabym się raczej dowiedzieć, co to za ekscentrycy się tu pojawili. I dlaczego biorą nas za aktorki?

– To może by ich tak przycisnąć? – zasugerowała Rarity, obracając w palcach nóż. – Wystarczy kwadrans a dowiemy się co kombinują.

– Jeden wspominał też o przyjęciu – przypomniała Pinkie. – W sumie nigdy nie byłam na przyjęciu, ale pewnie jest fajne. Dużo słodkiego ciasta i zabójcza muzyka.

– Przyjęcie z morderstwem! – powiedziała Applejack, jakby właśnie doznała olśnienia. – Chyba rozumiem o co im chodzi.

Cała piątka spojrzała na nią wyczekująco.

– Byłam kiedyś na takim przyjęciu z morderstwem...

– Ty i przyjęcia? – przerwała jej złośliwym tonem Rarity. – Brzmi jak oksymoron.

– Sama jesteś moron – warknęła Applejack. – Tak czy siak, była raz taka impreza w Appleloosie. Każdemu rozdano kartkę z rolą i powiedziano, że wśród nas jest morderca. Jak kogoś stuknie w ramię, to ten się ma przewrócić i udawać martwego, bo został zabity. A ci co żyją, mają wykryć kto zabija. Można pytać, rozmawiać i ogólnie robić różne, dziwne rzeczy, jak to na imprezie. Ogólnie, było całkiem całkiem, a mordercą był wtedy mój kuzyn. Pewnie bym go wykryła, gdyby mnie nie stuknął, jak szłam do kibelka. No i podobno stuknął też swoją narzeczoną gdy się migdałiła z jakimś gościem z Pearów. Ale musieli mieć minę wtedy. Tak czy siak, może ci turyści myślą, że to coś w rodzaju takiej zabawy? Wiedzą, że jesteśmy podstawione a napad to taka hucpa żeby mieli o czym opowiadać jak wrócą do Canterlotu, czy gdzieś?

– Interesująca teoria – mruknęła Twilight, drapiąc się w podbródek. W jej głowie zaświtał plan. Szatański, ale i genialny.

– To co, rozwalamy ich? – spytała Rainbow Dash, przerywając jej myślenie.

– Wprost przeciwnie. Zafundujemy im przedstawienie, co do którego mają tak silne przekonanie. A gdy oni będą nam machać na pożegnanie, my odejdziemy z ich fantami. Nie strzelamy, nie dźgamy nożami, nie łamiemy kości, jeśli to naprawdę nie jest potrzebne. Gramy groźne i wredne bandytki. Złośliwe i obsceniczne. Takie, jak w książkach czy opowieściach. Przerysowane i może nieco szalone. Tylko starajcie się nie przesadzić. Nie chcemy by jednak uznali prawdę za prawdę.

– Podoba mi się ten pomysł, Twi. Zróbmy ten cyrk po ichniemu – powiedziała Applejack.

– Słyszałam kiedyś, że jestem dobrą aktorką – powiedziała Rarity, zanurzając się na moment we wspomnieniach. W sumie, trochę tęskniła za zdobnymi sukniami i przyjęciami na salonach Canterlotu.

– A właśnie, Rarity, ten portfel tego gościa jest coś wart?

– Cieleca skóra z przetłoczeniami i wstawkami ze srebra. Nic specjalnego, mówiąc szczerze. Więc jak chcesz, to możesz mu go oddać. Ale nie za darmo. Niech na niego zapracuje.

– Nie no, za wóz z nim nie pójdę. Z resztą nie jest w moim typie – zaśmiała się Applejack, a pozostałe bandytki jej zawtórowały. – Ale chyba wiem, co z tym gościem zrobić. Ucieszy się jak świnka w bloku.

Bandytki przybiły sobie piątki, po czym odwróciły się, by kontynuować to, co zaczęły przed chwilą. Ale tym razem z większą werwą i bardziej... teatralnie.

Podczas gdy bandytki naradzały się w ciasnym kółku, turyści zajęci byli sobą. Większość skupiła się na rozgrzewającej się, lecz wciąż dość spokojnej, kłótni między małżonkami. Jedynie dwóch mężczyzn w średnim wieku i jedna młoda kobieta stanęli z boku, patrząc na rozmawiające bandytki.

– Muszę przyznać, że ten napad jest niezwykle ciekawym urozmaicheniem wycieczki – zaczął jegomość z monoklem, nabijając fajkę wyciągniętą z kieszeni. Nie oddał jej bo nie była ani bronią, ani czymś wartościowym z finansowego punktu widzenia. Była za to cenną pamiątką od generała Stonewinga.

– Istotnie – zgodził się niski, przysadzisty facet w nieco przyciasnej kamizelce.
– To bardzo ożywcze.

– W broszurze nic nie było o napadzie – zauważyła kobieta, wykorzystując wolną chwilę na pielęgnację piór. – Jestem tego pewna.

– Było – nie zgodził się mężczyzna, pykając z fajki. – Na dole umowy, drobnym druczkiem było napisane, że biuro nie ponosi odpowiedzialności za napady, rozboje czy inne zdarzenia losowe, odbywające się podczas wycieczki.

– Ale panna Sweet Sound miała chyba na myśli to, że w broszurze informacyjnej nie było mowy o inscenizowanym napadzie jaki będzie na nas zorganizowany. Takim jak właśnie ten.

– Dokładnie tak – potwierdziła, przeczesując delikatnie pióra. – Nie było żadnej wzmianki o takiej zabawie. Choć nie zaprzeczę, że jest ona bardzo ciekawa. Wygląda zupełnie inaczej niż w książkach. Jest jakby mniej strzelania. Może my też powinniśmy byli strzelać?

– Na liście niespodziewanych atrakcji był napad, wraz z sugestią by postępować zgodnie z życzeniami bandytów. Nie mogli od razu powiedzieć, że będzie inscenizowany napad, bo by nie było niespodzianki – stwierdził szczupły jegomość, podkreślając wąs. – Zapewne gdyby nie wczorajsza dyskusja, to w ogóle nie bralibyśmy tego jako inscenizację. Zapewne uznalibyśmy to za prawdziwy napad.

– A co jeśli to faktycznie napad, ale my po prostu w to nie wierzymy? – zasugerowała. – Przecież możemy mieć takie „szczęście”.

– Wątpię panno Sound – odparł mężczyzna, pykając leniwie z fajki. – Choć nie zgadzam się z twierdzeniem, że kobiety nie są zdolne do napadów. Po prostu uważam, że to inscenizacja, ponieważ nie sędzę by tak wyglądał prawdziwy napad. Jest zbyt wolny i zbyt spokojny. I faktycznie mało strzelania. Choć to akurat in plus,

moim zdaniem. Dodatkowo, te „bandytki” są trochę za czyste jak na kogoś, kto żyje poza prawem i musi się ukrywać przed służbami.

– Nie sposób się nie zgodzić. Zwłaszcza z ostatnim – przyznał drugi jegomość.
– Ta biała wygląda jakby wczoraj brała kąpiel. Poza tym, nie sędzę też by to było dobre miejsce na napad. Tu widać gdzie uciekają i trudno się schować. Ja bym raczej zorganizował napad w jakimś kanionie. Zrzucił kamienie przed i za wozem.

– Prawda. Poza tym, przy tej cenie wycieczki organizator już powinien przygotować podobne atrakcje. Nawet jeśli przygotowanie drogi wymagałoby fizycznej pracy.

– Coś w tym jest – przyznała panna Sweet Sound, nie odrywając wzroku od upierzenia. – Ale i tak musieli to dobrze ustawić. I pewnie kierowca, i obstawa o wszystkim wiedzieli. Inaczej nie grali by tak przekonująco trupów.

– Niewątpliwie – mruknął mężczyzna z fajką, po czym zmienił temat. – Swoją drogą, wybrali bardzo ładne aktorki do roli bandytek. Ciekawe czy będzie okazja spotkać je wieczorem w hotelu, po tej inscenizacji?

– Byłoby naprawdę dobrze. Chętnie porozmawiałbym z tą fioletową. Wydaje się być odczytana. Słyszeliście jak się wysławia? To nie jest ktoś kto pochodzi z małego miasteczka. Zakładałbym raczej Canterlot, albo Manehattan. Ostatecznie Fillydelphia.

– Ta. Tak gada, że głowa boli. Ja tam bym wolą zapoznać tą pomarańczową – powiedziała bez ogródek kobieta, zwracając na siebie uwagę dwóch jegomościów. – Ona chyba jest z jakiejś farmy, z południa. Ryżu, albo bawełny... Nieważne. Ma niezłe mięśnie. Pewnie w dzieciństwie pracowała przy zbiorach.

– Ta niebieska, z kolorowymi włosami ma chyba większe – mruknął jegomość z fajką.

– Gdzie? – nie zgodził się drugi. – Spójrz na jej nogi, przyjacielu, a potem na nogi tej pomarańczowej. Z resztą, już nawet ta różowa ma bardziej umięśnione nogi niż ta niebieska. Fakt, spodnie trochę przeszkadzają w ocenie, ale wystarczy spojrzeć jak materiał się układa. Z resztą, skrzydlaci zawsze mają mniej umięśnione kończyny od zwykłych ludzi. Taka już jest natura. Ciało ludzi posiadających skrzydła musi być lżejsze, by mogli oni latać. Z kolei ci, którzy nie mają ani skrzydeł, ani rogów, nadrabiają innym metabolizmem i statystycznie większymi i silniejszymi mięśniami. Opowiadał mi o tym mój przyjaciel, dyrektor szpitala w Manehattanie.

– Natura nie ma tu nic do rzeczy, panowie – nie zgodziła się kobieta. – To kwestia ćwiczeń fizycznych i jedzenia. Mój brat jest jednym z trenerów Wonderbolts i mówi, że odpowiednia dieta i dobrze dobrane ćwiczenia są najważniejsze przy

budowie mięśni. Podobno to potrafi zdziałać cuda. Więc pewnie ta pomarańczowa musiała solidnie jeść i jeszcze więcej pracować. Ani chybi farmerka z dużej plantacji. Albo miała ranczo.

– Nie jestem pewien czy naturalne predyspozycje nie mają tu też znaczenia. Widziałem wiele kobiet, które mają umięśnione nogi, a wątpiłbym, czy odżywiają się i ćwiczą, lub pracują na farmie. Myślę, że po prostu tak mają.

– Nie możesz jednak zaprzeczyć, że ta pomarańczowa ma najlepiej umięśnione nogi z całej szóstki.

– Faktycznie, jednak nie mogę. Choć przed wydaniem wyroku najchętniej obejrzałbym te nogi bez spodni – przyznał bez ogródek jegomość z fajką.

– Fakt, te pomarańczowe nogi zapewne są pięknym widokiem – zgodziła się kobieta. – Ale myślę, że nogi którejkolwiek z nich byłyby warte obejrzenia. Nawet tej fioletowej. Albo te białe, smukłe nóżki. Mmm...

– Niewątpliwie.

– A najlepiej jakby poza brakiem spodni brakowało też całej reszty.

Huknął strzał. Wszyscy umilkli i spojrzeli na sześć bandytek. Stojąca na ich czele Twilight stała z nieco opuszczonym rewolwerem, z którego długiej lufy unosił się jeszcze dym.

Szóstka odwróciła się gwałtownie. Jako, że nikt nie zareagował na to, Twilight uniosła rewolwer i wystrzeliła ponad głowami turystów, trafiając w okno paromobilu.

Natychmiast wszystkie rozmowy ucichły. Nawet zaborcza żonka zamilkła, strzelając widowiskowego focha i odwracając się plecami do męża. Dla Rarity był to iście cudowny widok. Aż zapragnęła to szybko wykorzystać. Zwłaszcza, że Twilight nie miała nic przeciwko temu, by nieco popodjudzać turystów.

– Pogadali? – spytała złośliwie Applejack, robiąc krok w ich stronę. – To dobrze. Pora wrócić do zabawy.

Demonstracyjnie przeładowała karabin, po czym powiodła po nich lufą, uśmiechając się złośliwie. Następnie podeszła do nieszczęśnika, któremu zabrała portfel i pomachała mu nim przed nosem.

– Chcesz go, co?

Mężczyzna nerwowo skinął głową.

– No to będziesz musiał zatańczyć – oznajmiła wesołym głosem, wieszając karabin na ramieniu. – Zachodnią polkę – dodała, wyciągając rewolwer i od razu strzelając mu pod kopyta.

Mężczyzna podskoczył nerwowo, gdy odbijająca się od ziemi kula przemknęła mu pod prawym kopytem. Kolejna musnęła lewe, zmuszając go do nerwowego płąsu w panicznej próbie uniknięcia pocisków, które Applejack wysyłała w stronę jego kopyt z niezwykłą precyzją.

Pozostali patrzyli na jego ruchy, zaskoczeni, przerażeni i zaniepokojeni. Niektórzy liczyli strzały, czekając aż padnie szósty i to się skończy. Nie spodziewali się jednak, że do zabawy włączy się tęczowowłosa bandytka, która dzięki dwóm rewolwerom zwiększy tempo „tańca”.

Wreszcie, po dwunastym strzale Rainbow Dash, dyszący z nerwów i wysiłku, mężczyzna mógł stanąć spokojnie i odetchnąć. Spojrzał na swoje buty i zauważył, że nie było na nich żadnego śladu, poza większą ilością kurzu. Wszystkie kule przeszły w bezpiecznej odległości.

– Dałeś całkiem ładny popis, jak na łebka z miasta, więc trzymaj – powiedziała Applejack, a gdy mężczyzna wyciągnął rękę po portfel, ona rzuciła go w górę i strzeliła.

Turysta patrzył ze zgrozą na spadający portfel. A gdy go złapał, obejrzał uważnie ze wszystkich stron, jakby to był samorodek złota.

Applejack zaśmiała się, starając się by jej śmiech brzmiał wrednie. Podobno wyszło jej świetnie.

– Uśmiechnij się. Gdybym chciała, to bym go trafiła.

Rainbow zachichotała, nie przerywając ładowania rewolwerów.

– To co, ktoś jeszcze chce zatańczyć? – spytała blondwłosa, demonstracyjnie obracając załadowanym bębniem swojego rewolweru. Nie spodziewała się jednak, że zgłoszą się dwie osoby, chętne do zostania ostrzelanym. No ale skoro słowo się rzekło, to musiała działać.

Tymczasem Rarity podeszła do upatrzonego wcześniej małżeństwa. Otaksowała je wzrokiem, po czym położyła dłoń na ramieniu mężczyzny i ścisnęła delikatnie, uśmiechając się przy tym. Przyciskając mu nóż do brzucha, przesunęła dłonią po jego ręce, aż dotarła do jego boku. Przebiegła po nim palcami, wywołując łaskotki u mężczyzny i żądę mordu u jego żony. Jednak nóż w jej dłoni i drugi w telekinetycznym polu studziły zapal kobiety.

– No proszę, proszę – powiedziała, wsuwając rękę do kieszeni w spodniach mężczyzny, który pocił się intensywnie. – A co ty tu ukrywasz przystojniaku?

Przebiegła palcami po jego udzie, po czym chwyciła mały przedmiot i wyciągnęła go, przesuwając knykciami po jego udzie. Normalnie uznałaby to za kardynalny błąd w sztuce, ale w tej sytuacji chciała się zabawić ich kosztem.

– No, no, no. Nieładnie. A moja przyjaciółka prosiła by oddać broń. I co ja mam teraz z tobą zrobić, przystojniaku? Powinnam cię dziabnąć dla przykładu, ale byłaby szkoda psuć takiego faceta.

Mężczyzna przełknął nerwowo ślinę, po czym spojrzał na nóż przytknięty do jego brzucha, a potem na małżonkę.

– Um... przepraszam – bąknął. – Zupełnie zapomniałem o tym małym nożyku. Używam go tylko do listów. Naprawdę.

– Aha. Ej, Fluttershy, co myślisz? Powinien dostać jakąś karę za ten nożyk w kieszeni?

– Um, nie wiem... Jest żonaty.

Rarity otworzyła usta, zaskoczona, po czym zaczęła się serdecznie śmiać. Po chwili dołączyła do niej Pinkie i Twilight. A po nich kolejne bandytki i turyści. Wreszcie śmiali się wszyscy oprócz żony, która wyglądała jakby miała zaraz eksplodować.

– Zostaw mojego męża, wywłoko – warknęła, po czym machnęła otwartą dłońią próbując uderzyć Rarity w twarz.

Gdyby nie refleks, pamięć mięśniowa i odrobina szczęścia, biały policzek zostałby naznaczony przez rozpędzoną dłoń. Zabrakło tylko ułamków cala.

– Jak mnie nazwałaś? – spytała gniewnie Rarity, momentalnie łapiąc ją magią i przyciskając nóż do brzucha. Śmiechy ucichły momentalnie i wszyscy patrzyli na dwie kobiety.

– Tak jak słyszałaś – odparła twardo żonka, nie bojąc się noża boleśnie wbijającego się jej obok pępka. – Myślisz, że możesz od tak dobierać się do cudzych mężów? Znajdź sobie własnego.

– Wiesz, że wystarczy jeden ruch, a będzie wdowcem. Choć myślę, że nie na długo. Taki przystojniak z pewnością szybko znajdzie sobie kogoś. Może nawet sama go przygarne? Ej, kochasiu, co myślisz? Czy twoja żona zaczyna cię drażnić? A może jest dla ciebie za zimna? Wiesz, wystarczy jedno słowo, a będziesz znów wolny – powiedziała Rarity, starając się brzmieć możliwie najbardziej lubieżnie,

wypowiadając ostatnie zdanie. A znając jej praktykę, to wtedy musiało jej pójść fenomenalnie.

– Proszę, nie – powiedział nerwowo, zerkając na swą żonę. – Ja ją kocham.

Rarity przeniosła swój wzrok na niego i oblizwała wargę. Po chwili puściła kobietę i odeszła, śmiejąc się serdecznie, ale i złośliwie.

– Pantofel. Szkoda – westchnęła. – A wyglądał tak apetycznie.

Napięcie opadło i wszyscy wrócili do swoich zadań. Applejack skończyła ładować rewolwer i ustawiła drugiego chętnego na ostrzelanie kopyt. Rarity tymczasem podeszła do pozostałych i demonstracyjnie przybyła piątkę z Twilight i Pinkie.

– Bardzo ładny pokaz, Rarity – podsumowała Twilight. – Jestem nawet odrobinę ciekawa, jak ten konflikt małżeński rozwinie się później.

– To akurat proste, moja droga – odparła Rarity, poprawiając kapelusz, który jej się nieco przesunął. – Ona będzie na niego krzyczeć, a on będzie spał na kanapie. Przyznam, że nawet mi go trochę żal. Chociaż jest strasznym pantoflem.

– Mnie nie.

– To co teraz, Twilight? Możemy ich wysadzić? – spytała Pinkie, robiąc do Twilight wielkie, proszące oczy. – Proszę. Dawno nic nie wybuchalam. Mogę ich wybuchnąć? Albo chociaż ten pojazd?

– Później, Pinkie. Bierz poprawkę na fakt, że zdecydowanie łatwiej konwersować z ludźmi znajdującymi się w jednym miejscu i w jednym kawałku. Tak samo, jak łatwiej jest konwersować z żywymi. Ale jak skończymy, możesz zrobić pokaz fajerwerków. Nawet ci w tym pomogę, jeśli chcesz.

– Aha – mruknęła Pinkie, nie przestając się uśmiechać. – A co mam teraz robić? Coś fajnego?

– Hmm... Zajmij się biżuterią – stwierdziła Twilight, poprawiając okulary. – Oczywiście biżuterią naszych gości, nie Rarity – dodała po chwili.

– Czemu ona? – jęknęła Rarity, która była wielce oburzona, że kto inny będzie zajmował się tą częścią roboty, którą najbardziej lubi.

– Bo jak ty byś się za to wzięła, to trwałoby to cały dzień – stwierdziła złośliwie Applejack, która właśnie skończyła ostrzeliwać ostatniego chętnego, oddając pole Rainbow Dash. – Równie dobrze ja mogłabym pójść nazbierać jabłek w sadzie. Choć nie, ja bym zrobiła to szybciej.

– Ja tam bym się nie obraziła. Byłaby chwila by się kimnąć. – Rainbow Dash ziewnęła teatralnie, nie przestając strzelać.

– Powód takiej decyzji jest elementarny, Rarity. Przegląd biżuterii na tym etapie jest nieistotny. Można to zrobić później. Zaś twoja skrupulatność i dobre oko przydadzą się obecnie przy przeszukaniu wnętrza tego mobilnego przybytku. Wątpliwe, by ci turyści wszystkie swe kosztowności trzymali przy sobie. Zakładam raczej, że mają je schowane w walizkach, więc chciałabym, abyś przejrzała ich bagaż. Pomoże ci w tym Fluttershy i Rainbow.

– Eeee – jęknęła tęczowowłosa. – Muszę?

– Tak, musisz. Dzięki temu szybciej skończymy.

– Um, Twilight – powiedziała Fluttershy, podchodząc do przywódczyni ich bandy. – Czego dokładnie powinniśmy szukać?

– Pieniądzy, biżuterii i... – Twilight zamyśliła się. Przy dylizansie pocztowym dodałaby: weksli, obligacji, przekazów czy asygnat. Tu jednak nie było raczej szans na to. Sądząc po pasażerach, może by się znalazły „drogie” ubrania, ale one nie były w sumie nic warte, z uwagi na prawie niemożliwą odsprzedaż. Nagle w jej głowie zaświtała myśl. – Jeśli znajdziesz wizytówki, to je zabierz.

– Co to są wizytówki?

– To takie małe karteczki z imionami i informacjami o wykonywanej pracy – wyjaśniła Twilight, zmuszając swoje szare komórki by formułowały proste wyjaśnienie. – Rozdaje się je by ułatwić komuś znalezienie naszej firmy. Mogą się przydać, jeśli zdecyduję się na interwizytację tu obecnych.

– Dobrze. – Skinęła głową i odeszła za Rainbow, która już czekała niecierpliwie z tyłu wozu.

Tymczasem Pinkie podeszła do pierwszego w kolejce mężczyzny i przystanęła przed nim. Wbiła mu lufę strzelby w brzuch i przyjrzała uważnie. Głowa, ramiona, pierś, nieco zaokrąglony brzuch, opięty kamizelką z mosiężnymi guzikami, dłonie...

– A co my tu mamy? – spytała groźnie, chwytając jego prawą dłoń i unosząc ją w górę. Na środkowym palcu mężczyzny znajdował się interesujący, metalowy sygnet. Duży, grawerowany, żelazny pierścień z niewielkim bębniem o pięciu komorach. A w każdej malutkiej komórce. Może nie zabija, ale wystarczy by się wymknąć i zdecydowanie wnerwić trafiony cel.

Mężczyzna przełknął nerwowo ślinę, czując lufy wbijające mu się w brzuch. Choć był pewien, że to wszystko tylko pokaz, to groźny uśmiech Pinkie, oraz jej oręż

oparty o jego ciało robiły swoje. Widać biuro musiało wynająć naprawdę dobrą aktorkę. Albo to, albo zaraz trzy garście śrutu przetną go na pół.

– Umm... – zaczął, ale Pinkie zerwała mu pierścień, po czym pchnęła go na ziemię.

– Myślałeś, że jesteś sprytny, co? – spytała, podając bojowy pierścień Twilight. Ta obejrzała go pobieżnie i schowała do kieszeni. – Że niby taka mała zabaweczka, co robi tacy tacy bum się schowa? Ale nic się nie schowa przed okiem Pinkie Pie. Nikt i nic. Jestem najlepsza w chowanym.

– Jeśli u kogoś jeszcze znajdziesz broń, Pinkie, to możesz się nie wahać i go zastrzelić. To będzie tylko niewielka kompilacja mego planu. Albo ułatwienie.

– Ta – poparła ją Applejack. – Nie pozwalaj by jakiś mieszczuch ci w kaszę dmuchał.

– Zjadłabym kaszy – mruknęła Pinkie, biorąc się do kolejnego przeszukania. Tym razem padło na jegomościę z fajką. Ten jak gdyby nigdy nic, złapał cybuch zębami, uniósł ręce w górę i pozwolił się przeszukać bez narzekania. Uśmiechnął się nawet, gdy różowe palce zaczęły przesuwac mu się na wysokości nerek i ud. Nic jednak nie powiedział. Nawet gdy Pinkie wyjęła mu z kieszeni srebrny zegarek, oraz platerowaną elektrum zapalniczkę.

Obserwująca ją Twilight dała znak Applejack, by ta miała oko na przyjaciółkę, a sama ruszyła w stronę kabiny kierowcy. Bezceremonialnie wywlekła stamtąd trupa kierowcy i zaczęła magią przetrząsać mu kieszenie. Znalazła portfel z jakimiś drobnizkami i zdjęciem ukochanej, tani zegarek na łańcuszku, oraz składany nożyk z rękojeścią z kamienia. Nic, co można uznać za dobry łup. Aczkolwiek na amunicję starczy.

Podczas gdy Pinkie trzepała kieszenie turystów, Fluttershy, Rarity i Rainbow szperały po kabinie tego luksusowego środka transportu. Niestety na razie poszukiwania nie szły zbyt owocnie. Raptem jeden plik banknotów spiętych klipsem, znaleziony pod stołem, grzebyk z masy perłowej, który spodobał się Fluttershy oraz kilka wspomnianych przez Twilight wizytówek. Choć te ostatnie wielce zaskoczyły Rainbow. Nigdzie jednak nie było widać bagaży, ani nawet podręcznych toreb. Zupełnie jakby ci, ewidentnie bogaci, turyści pojechali na wycieczkę, nie biorąc nawet zapasowych chustek do nosa.

– Tak nic nie znajdziemy – jęknęła Rainbow, po czym wypila zawartość kieliszka stojącego najbliżej. Nie przepadała za winem, zwłaszcza za cudzym, ale chciało jej się pić, a ono stało blisko. – Trzeba by któregoś odstrzelić, a reszta sama nam wszystko wyszuka. W zębach przyniosą.

– Twilight na pewno o tym myślała – powiedziała Fluttershy, oglądając kotleta na jednym z talerzy. Niby wyglądał jak mięso, ale miała wątpliwości. Głównie z powodu zielonego sosu, w którym pływał. No i zapachu mięty. – Może jednak ma jakiś plan? Wiecie, taki specjalny, jak zawsze.

– Nie no, Twilight zawsze ma plan. Zastanawiam się tylko jaki. Bo raczej na tych dupkach wiele nie zarobimy. Ej, Rarity, myślisz, że te bohomy są coś warte?

Rarity podeszła do najbliższego obrazu wiszącego na ścianie obitej jasną, brzoową boazerią i zaczęła mu się przyglądać uważnie. Plótno przedstawiało świt wstający nad lasem usytuowanym po lewej stronie dzieła. Mniej więcej, w jednej trzeciej szerokości, las przechodził w pastwisko, na którym pasły się owce, dogłądane przez starszego mężczyznę z zawiniętym u góry, sękatym kijem. W tle zaś majaczyła niewielka, pasterska chatka z pni, kryta strzechą. Przeciętne, wielkomiejskie wyobrażenie o pasterzu owiec i jego mieszkaniu. Olej na płótnie. Rama też nie wyglądała specjalnie wyszukanie. Zwykła, drewniana, rzeźbiona maszynowo, udając tylko ręczną robotę. Nawet niewielkie odpryski farby i patyna były sztucznie zrobione.

Uniosła ostrożnie ramę i zajrzała pod spód, przyświecając sobie rogiem. Naklejona z tyłu karteczka z ceną upewniła ją co do przypuszczeń, które miała już wcześniej. W zasadzie, nawet je pogłębiła.

– Nie, Rainbow – westchnęła wreszcie Rarity. – Te obrazy są nic niewarte. To tanie landszafty. Wątpię nawet czy namalował je człowiek. To może być masowy produkt, wykonany przez maszynę.

– Serio? – spytała z niedowierzaniem Rainbow. – To tak się da? Czad.

– Owszem. Jak wiecie, obrazy zawsze były czymś co kupowali bogaci, a o czym biedniejsi mogli tylko pomarzyć. Znaczący, mogli sobie namalować, ale to nie to samo, co obraz słynnego, nieżyjącego już artysty. Ale to się trochę zmienia. Dzięki magii i maszynom można wytwarzać wiele identycznych, tanich obrazów, wyglądających jak malowane ręcznie. W sam raz by każdy mógł je kupić i powiesić na ścianie, bo wyglądają ładnie.

– Dobra, ale po co ktoś powiesił te tanie obrazy w tej bryce do przewozu snobów?

– Żeby wyglądało estetycznie i przypominało jadalnię w bogatym domu – odparła Rarity, zostawiając obraz w spokoju. – A szkoda przecież wieszać prawdziwe dzieła sztuki w pojeździe, który może zostać napadnięty, ostrzelany, a nawet spalony. Lepiej powiesić podobne, które nie mają takiej wartości, a wyglądają podobnie.

– W sumie, ma sens. A te wypchane głowy? – Rainbow wskazała skrzydłem na trofeum z jelenia zawieszone po przeciwnej stronie pomieszczenia. – To też sztuczne? Fluttershy? Weź zerknij.

Fluttershy podeszła do trofeum i uniosła się nieco w górę, machając ostrożnie skrzydłami. Spojrzała w oczy jelenia, po czym dotknęła dłonią jego pyszczka. Był szorstki i pokryty odrobiną kurzu.

– Jest prawdziwy – powiedziała. – Wielu myśliwych sprzedaje trofea. Poroża, głowy, czy królicze łapki.

– I ludzie je kupują?

– Tak jak tanie obrazy – odparła Rarity. – Wydaje mi się, że większość bogatych woli raczej zapłacić traperowi, by zabrał ich na polowanie, gdzie sami ustrzelą takiego zwierza. Dzięki temu będą mieli też co opowiadać. Zgodzisz się ze mną, Fluttershy?

– Um... Tak. Kiedyś, dawno temu razem z Daddym Cricketem spotkaliśmy takiego jednego... specyficznego człowieka. Przyznaję, dobrze płacił i dobrze strzelał, ale o tropieniu nie miał zielonego pojęcia. Nie umiał odróżnić tropów bobra od tropów kaczki. Do tego jadł szyszki. Ale dzięki niemu zarobiłam większość pieniędzy na mój karabin – dodała, podchodząc do ściany.

Tym co przykuło uwagę żółtej kobiety była niewielka, mosiężna gałka wystająca ze ściany. Ostrożnie ujęła ją w palce i pociągnęła.

Obracająca się gwałtownie ścianka uderzyła ją w ramię, a wyskakujące spod podłogi siedzisko kanapy rzuciło Fluttershy na ziemię.

– Au – jęknęła, podnosząc się do pionu. Ramię trochę ją bolało, ale niespecjalnie. Gorsze, że dała się zaskoczyć... meblowi?

– Co jest? – spytała Rainbow, odwracając się gwałtownie. W ręce miała rewolwer, ale nie pamiętała, by go wyciągała.

– Nic – odparła bladożółta dziewczyna. – Po prostu to mnie zaskoczyło. Pociągnęłam za gałkę i ze ściany wyskoczyła kanapa.

– A to kanapa nie powinna być przed ciągnięciem za gałkę? – spytała złośliwie tęczowowłosa, powstrzymując śmiech.

Rarity, zrobiła nieco obrażoną minę, jednocześnie również powstrzymując się od śmiechu. Żart może i był zabawny, ale damie nie przystoi śmianie się z takich żartów. No chyba, że opowiada je przystojny i bogaty młodzieniec w trakcie wystawnego przyjęcia, w luksusowej willi.

Rainbow podeszła do Fluttershy i pomogła jej wstać, choć ta wcale pomocy nie potrzebowała. Wtedy jej uwagę zwróciła kolejna niewielka, mosiężna gałka wystająca ze ściany, dokładnie na wysokości oczu. Podeszła do niej, ujęła w palce i zamarła.

Nie chciała oderwać kanapą.

Z drugiej strony, po co ktoś miałby ukrywać w ścianach same kanapy?

Pociągnęła.

Kilka desek zsunęło się z hurkotem, odsłaniając okno. Rainbow była tym tak zaskoczona, że gwałtownie uniosła broń i odciągnął kurek, gotowa zastrzelić tą okiennicę. No ale okiennicy nie było. Tylko preria jak okiem sięgnąć. Brakowało tylko biegacza stepowego, który dopełniały obrazu pustki za oknem.

– Um, nie podoba mi się ten pojazd – mruknęła Fluttershy, siadając na kanapie obitej czerwonym suknem. Była naprawdę miękka i wygodna. – Może wracajmy. Tu chyba nic nie ma.

– Poszukajmy jeszcze chwilę – zaproponowała Rarity, oglądając niewielką kuchnię umiejscowioną pod ścianą oddzielającą kabinę od szoferki. Składała się z małego piecyka, mosiężnego samowaru do parzenia herbaty, kilku szafek, oraz blatu, na którym stała otwarta butelka czerwonego wina. To właśnie ona przykuła jej uwagę.

Rarity podeszła bliżej, wyciągnęła spod blatu kieliszek i nalała sobie trochę. Uniosła go w górę, obejrzała pod światło, po czym upiła łyk. Nie połknęła jednak, tylko trzymała w ustach, obracając na języku.

– Mmm... – mruknęła, przełknąwszy wreszcie łyk wina. – To naprawdę dobry gatunek. Ponadto, niemłody. Conajmniej dwadzieścia lat.

– I co z tego? – burknęła Rainbow Dash, zaglądając pod stół. Szukała bagaży, których nigdzie nie było widać.

– To, że Twilight miała rację – odparła. – Tym pojazdem podróżują naprawdę bogaci ludzie. A to znaczy, że w ich bagażach powinno być sporo forsy i biżuterii. A

– Ta, ale ich bagażu tu nie widać.

– Widocznie szukamy w złym miejscu – westchnęła Rarity, zaglądając do miniaturowej kuchni. – Gdybym ja miała jechać na wycieczkę, poznać „dziki zachód”

to z pewnością zabrałabym co najmniej pół tuzina sukien w tym conajmniej jedną, godną wystawnego balu. I minimum trzy kapelusze.

Rainbow udała, że wymiotuje, a Fluttershy zachichotała.

– Widać, że życie wyższych sfer jest wam obce – burknęła Rarity, po czym napiła się ponownie. To wino bardzo jej smakowało. do tego stopnia, że po znalezieniu korka, zabrała butelkę ze sobą. – Należąc do elit trzeba wyglądać jak elita. A to obejmuje też odpowiedni, czysty strój. Może kiedyś spróbujecie. To nie boli.

– Mowy nie ma. Prędzej dam się oskubać jak kurczak.

– Szkoda. A ty, Fluttershy?

– Umm... nie wiem. Lubię swoje poncho.

– Myślę, że wspaniale byś wyglądała w marszczzonej sukni do kopyt, albo w prostej, do kolan i w kolorze wina. I z szerokim kapeluszem z kwiatami...

– Ej, Rarity, ogarnij się – przerwała jej Rainbow, potrząsając nią za ramię. – Bo znów odpływasz, a trzeba to kończyć.

– Niestety – przyznała biała kobieta, drapiąc się w głowę. Jej wzrok spoczął na mikro kuchni, która, z każdą sekundą przyglądania się jej, wzbudzała coraz większe wątpliwości. Jej linia w zasadzie kończyła się na bocznej ścianie. Tej z obrazem. Jednak sam blat kończył się znacznie wcześniej, zaś półka po lewej stronie kuchni nie była tak głęboka.

Rarity podeszła ostrożnie do drewnianej ściany i od razu dostrzegła coś, co im umykało przez cały ten czas. Wystającą ze ściany, niewielką mosiężną gałkę. Taką samą jak poprzednie, tyle, że z błękitnym kamieniem osadzonym w środku. Nie był to jednak kamień szlachetny, a raczej ceramika z glazurą.

Złapała za nią, ale Fluttershy ją powstrzymała. Ciągle pamiętała, jak oberwała kanapą i nie chciała by jej przyjaciółkę to spotkało. Zrobiły więc krok w tył i Rarity aktywowała róg. Otoczyła gałkę magią i pociągnęła.

Ściana przed nią, zwinęła się z hurkotem, odsłaniając miniaturową, bogato urządzoną łazienkę.

Obie bandytki zajrzały do środka i mało nie zagwizdały z podziwu. Centrum małego pomieszczenia zajmowała normalnych rozmiarów porcelanowa muszla klozetowa z drewnianą deską sedesową. Za nią znajdowała się spluczka z wbudowaną naprawdę mikroskopijną, porcelanową umywalką, nad którą z kolei wystawał mosiężny kran. Po prawej wisiało spore, oprawione w złoconą ramę lustro, zaś pod nim była wąska półka, na której leżała tubka kremu, zapomniana przez jednego z pasażerów.

Fluttershy weszła do środka i obróciła się. Łazienka była naprawdę mikroskopijna, ale urządzono ją tak, by jak najwięcej przestrzeni oddać dla użytkownika. Dzięki temu mogła się obrócić, nie wpadając na nic. Mogła nawet w wąskim zakresie poruszać jednym skrzydłem. Na tyle, by przy odrobinie gimnastyki oczyścić je w samotności. Pozostawała tylko jedna kwestia. Drzwi cały czas były otwarte. Czyli gdzieś pewnie musi być taka śmieszna gałka.

I była. Po lewej stronie wejścia.

Fluttershy pociągnęła za nią i ściana zasunęła się, mało nie ucinając ciekawskiej Rarity rogu. Co gorsza, ten mosiężny przedmiot po raz kolejny zakpił z bandytki, zostając jej w dłoni. A na ścianie nie było śladu miejsca, gdzie była gałka.

– Um, Rarity? Dziewczyny?! Pomocy, utknęłam!

– Lecę! – krzyknęła Rainbow, po czym zrobiła kilka kroków w tył i pędem rzuciła się na drzwi.

Rarity ledwie zdążyła odskoczyć, zanim jasnoniebieskie ciało z impetem uderzyło w drzwi i odbiło się od nich jak piłka.

– Co ty niby robisz? – spytała biała kobieta, pomagając przyjaciółce wstać.

– Próbuje uwolnić Fluttershy. Może mi pomożesz, zamiast tak stać? – warknęła Rainbow, wstając na nogi.

– Ależ oczywiście, że pomogę, moja droga – odparła Rarity, po czym złapała magię za mosiężną gałkę i pociągnęła.

Ściana zsunęła się ponownie, odsłaniając ewidentnie zdenerwowaną Fluttershy. No ale kto by nie był zdenerwowany po zatrzaśnięciu się w wychodku?

– Chodźmy stąd, proszę – jęknęła Fluttershy, oddychając głęboko. – Nie lubię tego pojazdu.

Podczas gdy trzy bandytki bezskutecznie próbowały znaleźć bagaże turystów, Pinkie kończyła zbierać biżuterię. Została tylko niechcąca współpracować kobieta. Ta sama, która wcześniej nie chciała oddać torebki.

– No dawaj – jęknęła różowołosa wskazując na dużą, złotą broszę. – Nie chce mi się ściągać jej z twojego trupa. To nefajne. Rarity potem jęczy, że wszystko uwalane, i że musi pracować.

– Nie. To moja rodzinna pamiątka! – zaprotestowała kobieta, osłaniając broszę dłońmi. – Należała do mojej prababci. Nie dam.

– Zostaw Pinkie – westchnęła Applejack, machając ręką w powietrzu. – Też bym nie chciała by mi ktoś zawinął na przykład rodzinnego colta. Poza tym, to chyba tylko bryłka złota i kawał kamienia. W ogóle to kamień szlachetny, czy zwykła błyskotka?

– Nie przyjrzałam się dokładnie, ale raczej rubin to to nie był. Agat może.

– To zostaw. Z ich kieszeni przetrzepiemy więcej. Chyba. Albo Rarity z resztą coś znajdą.

– Dziękuję – powiedziała kobieta, gdy Pinkie cofnęła rękę i już chciała odejść. – Ta brosza jest w mojej rodzinie od pokoleń.

– Tak tak – skwitowała Applejack. – Ale oddawaj kolczyki. Ino szybko!

– Eee... – wymamrotała kobieta, cofając się o pół kroku. – Ale...

– No co? Ruchy! A może mam ci je sama wyrwać? – ponagliła Applejack, a Pinkie pomachała strzelbą. – Swoją drogą, nie ogarniam po co kobitkom kolczyki. Ani to praktyczne, ani wygodne, ani ładne. Taki farfocel w uchu. Nigdy nie nosiłam i nie zamierzam.

– Jak byłam mała, to chciałam se zrobić kolczyk – powiedziała Pinkie. – Taki okrągły. Mogłabym się przebrać za pirata. Takiego z szablą i drewnianą nogą. I chciałam mieć papugę, która mówi nieprzyzwoite rzeczy. A pani ma papugę? – spytała, patrząc na starą kobietę w wielkim kapeluszu.

– Nie – odparła skołowana dama, kończąc zdejmować kolczyki w postaci zwisających, złotych kwiatów o listkach z niewielkich szmaragdów i płatkach z szafirów.

– Serio? Bo ten kapelusz wygląda jakby siedziała na nim papuga.

– Chyba raczej indyk – zarechotała Applejack. – Słowo daję, ten kapelusz wygląda jakby ktoś faktycznie przywiązał do niego indyka. Jeśli tak się nosi w Manehattanie, to cieszę się, że nigdy tam nie byłam.

– Jestem z Fillydelphii – oznajmiła niezadowolonym głosem kobieta. Być może miała podobny stosunek do tego miasta co Applejack.

– Tam też się nie wybieram.

Wewnątrz pojazdu coś huknęło potężnie. Pinkie i Applejack odruchowo odwróciły głowy w stronę tylnych drzwi pojazdu, celując tam ze swej broni. Kilku turystów podskoczyło, zaskoczonych nagłym hałasem, ale żaden nie zrobił nawet kroku.

Prawie żaden.

Gruby, skrzydlaty mężczyzna, stojący w środku szeregu postanowił wykorzystać fakt, że dwie bandytki są obrócone, a tą trzecią gdzieś wcięło. Napiął mięśnie nóg, rozejrzał się, po czym pchnął Pinkie na Applejack i tą starą kobietę, podbiegł kilka kroków, rozłożył skrzydła i wystartował.

Pinkie krzyknęła, pozwalając swym ciałem zaskoczoną Applejack i przerażoną kobietę. Zaalarmowana tym Twilight wychyliła się z kabiny, rzucając przeszukiwane ciało i odwróciła się. Niestety wznoszący się od skrzydeł uciekiniera kurz utrudniał wycelowanie do oddalającego się celu.

Twilight warknęła, po czym aktywowała róg, przypinając kolbę do trzymanego rewolweru. Odciągnęła kurek, celując w środek chmury kurzu i biorąc poprawkę na przewidywaną prędkość obiektu, minimalną możliwą wysokość lotu, oraz siłę wiatru wokół lecącego człowieka. Położyła palec na spuście i...

Padł strzał. A po nim kolejny i kolejny. Twilight obróciła się i wycelowała w powietrze, gdzie unosiła się Rainbow Dash, ostrzeliwując oddalający się i zygzakujący cel.

Wreszcie, jedna z wystrzelonych przez błękitną bandytkę kul trafiła w skrzydło uciekiniera, a kolejna roztrzaskała jego łopatkę. Mężczyzna stracił stabilność lotu i grzmotnął w ziemię, wzniesając spory tuman kurzu.

– Trafiony, załatwiony – rzuciła tęczowowłosa, kręcąc rewolwerem na palcu.

Jakaś kobieta krzyknęła i zemdląła, wpadając w ramiona najbliższego mężczyzny. Średnio wybrała, bo jegomość był raczej przysadzisty i miał nieestetyczną, krzywo przyszywoną bródkę.

– Dobrze – warknęła nie całkiem zadowolona Twilight. – Skoro już pokazałaś jaka jesteś szybka, to możemy wrócić do realizacji planu. Jak wam idzie przeszukanie przedziału podróznego?

– Eeee... tam prawie nic nie ma. Fluttershy znalazła trochę tych... no, tego co szukałaś, ale poza tym jakieś drobniaki. No i nigdzie nie widać bagażów. Jakby ich nie mieli.

– Widocznie źle szukałyście. Persony, które są w stanie dla kaprysu pojechać oglądać to, co dla nas jest codziennością, z pewnością zabierają ze sobą zapasowe odzienie, oraz zapewne pieniądze na suweniry.

– Ta, Rarity też coś takiego mówiła, ale tam nie ma żadnej walizki. Zaglądałam nawet pod stół – przyznała Raibnow, robiąc kwaśną minę. – Ej, Twi, weźmy rozwalmy jednego z tych gości, to może inni nam powiedzą, gdzie są bagaże?

– W zasadzie, to nie jest zły pomysł. Aczkolwiek może można sobie podarować likwidację. Sądzę, że nasi nowi przyjaciele z przyjemnością nam powiedzą, gdzie są ich bagaże. Prawda? – dodała, zwracając się do turystów, których Pinkie i Applejack trzymały na muszce. Rewolwer w jej dłoni uniósł się ponownie, biorąc na cel kolejnych pasażerów. – Ponieważ jeśli tego nie zrobią, faktycznie mogę cię posłuchać, Rainbow, a wtedy ich koniec nie będzie tak przyjemny jak naszego uciekiniera.

– Na górze – odparł uprzejmym tonem jegomość z monoklem. Jeśli rewolwer o ponadprzeciętnej lufie robił na nim jakieś wrażenie, to on dobrze to maskował. – Drzwi są z tyłu. Chyba na środku, nie przyjrzałem się dokładnie.

– Widzisz Rainbow. Czasami można darować sobie *rozwalanie* i tylko je zasugerować. Metoda czystsza, a dająca niekiedy zbliżony rezultat.

– Czaję. Z gnatem, ale bez strzelania. Może być.

– Idź i zajmij się tym *strychem*. – zarządziła Twilight.

– A co z tym, co zwał?

– Nic. Daleko już nie ucieknie. Idź już. Im szybciej tym szybciej stąd znikniemy.

– Ta, przydałoby się – mruknęła Applejack. – Robi się ciepło. Warto by zniknąć przed południem, a do domu mamy chyba godzinę drogi. A uwierz mi, łożenie po prerii w słońcu to nic fajnego.

– Skoro o tym mowa... – zaczął nieśmiało niski mężczyzna, wciąż podtrzymujący dochodzącą do przytomności kobietę. – Czy będzie kilka minut przerwy podczas tego napadu? Faktycznie robi się ciepło i chętnie byśmy napili się wody. Ta dama nawet już zemdlała od słońca.

– Prawda – poparła go skrzydlata kobieta stojąca całkiem na lewo. – Poza tym, ja to bym chętnie... poszła tam, gdzie księżniczka Celestia sama chodzi.

Twilight otworzyła usta zaskoczona prośbą, a potem się zastanowiła. To czy się zgodzić, czy strzelić w powietrze nie było tak oczywiste. Musiały przecież być bandytkami, ale takimi na niby. A to oznaczało, że nie można było przesadzić ze

strzelaniem. Zwłaszcza, że chciała jeszcze zapytać ich szybko o kilka rzeczy. Konkretniej o zabezpieczenia w banku. W końcu wśród nich musiał być jakiś bankier. Choć z drugiej strony może Rainbow miała rację? Może lepiej ich rozwalić i mieć problem z głowy?

– Nie – powiedziała Twilight, patrząc na nich groźnie. – To napad a nie jakaś szopka! Będziecie mieli okazję sobie ulżyć, gdy już z wami skończymy. O ile jeszcze będziecie mieli niezbędne ku temu elementy.

– Czyli nie ma szansy na siku? – spytała nieco zasmucona pasażerka.

– Nie.

– To nieludzkie – mruknął szeptem jeden z mężczyzn, którzy wcześniej dyskutowali o nogach Applejack.

– Możliwe, ale dzięki temu bardziej realistyczne, przyjacielu – odparł cicho drugi. – Przecież podczas prawdziwego napadu nie byłoby przerwy na herbatę.

– A szkoda – mruknął jegomość, za co zarobił szturchnięcie łufą w żebra. – Herbata z bandytami byłaby ciekawa. Może później się uda.

Rainbow Dash nie słuchała dyskusji Twilight z pasażerami. Gdy tylko otrzymała zadanie, postanowiła je zrealizować. Zresztą, wszystko było ciekawsze niż patrzenie na tych wymoczków, których Twilight z jakiegoś powodu nie chciała zabić.

Stała przed drabinką zamontowaną po lewej stronie wejścia wielkiego wozu i spojrzała na szerokie, płaskie drzwi pod dachem. Po ich rozmiarze i po wysokości sufitu w wozie wnioskowała, że stryszek ma jakieś trzy, może trzy i pół stopy w najwyższym miejscu. A to oznaczało, że faktycznie można tam schować dużo walizek z kasą.

– Cholera, że też wcześniej tego nie zauważyłam – mruknęła. – Z resztą, Pinkie rozwalila jakiegoś gościa w tamtym okienku, więc tam musiał być strych.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na drabinkę zamontowaną po prawej stronie. Nie zamierzała jednak z niej skorzystać, bo to urząłoby jej godności. Zamiast tego rozłożyła spore, błękitne skrzydła i kilkoma machnięciami wzniosła się na odpowiednią wysokość. Szarpnęła za klamkę i otworzyła szerokie drzwiczki.

Wtedy padł strzał.

Rainbow Dash krzyknęła i runęła na ziemię.

Z omnibusu wybiegła Rarity i dopadła do przyjaciółki uciskającej porzestrzelone ramię. Spod jej niebieskich palców wypływała krew. Zaraz też dotarła Twilight, odprowadzana wzrokiem przez Applejack, oraz wszystkich turystów, którzy z zaciekawieniem obserwowali „spektakl”.

– Co jest? – spytała Twilight, kucając obok Rarity.

– Na górze jest strzelec – jęknęła Rainbow. – Zaskoczył mnie – dodała ewidentnie wkurzona, nie przestając uciskać rany.

– Pokaż, gdzie cię trafił – powiedziała Rarity.

Rainbow uniosła dłoń, pokazując krwawą plamę rozlewającą się wokół głębokiej bruzdy na ramieniu. Na pierwszy rzut oka mogło to wyglądać paskudnie, ale Rarity uśmiechnęła się na ten widok.

– Będiesz żyła – stwierdziła, sięgając magią do małej torby, z której wyjęła manierkę z bimbrem, którą podała Rainbow. – To tylko draśnięcie. Głębokie, ale draśnięcie. Wypij – poleciała.

Rainbow wzięła manierkę i przyssała się do niej. Pałący, ciepły bimber był... jabłkowy. I dobrze tłumił ból.

Rarity aktywowała róg i otoczyła ranę magicznym blaskiem. Szukała fragmentów ołowiu, które mogły utknąć w środku i w przyszłości sprawiać jakieś problemy. I słusznie zrobiła, bo w ciele jasnoniebieskiej kobiety znajdował się spory odłamek o poszarpanych krawędziach.

– Jak to wygląda, Rarity? – spytała Twilight.

– Całkiem dobrze – odparła, zabierając Rainbow manierkę i oblewając ranę resztą bimbru. – Mięsień jest uszkodzony, ale chyba nie trwale. Jeszcze będzie strzelać. Trzeba ją tylko opatrzyć i obserwować przez dłuższy czas.

– Rozumiem – mruknęła Twilight. – Zajmę się tym jegomościem na strychu. Ty zadbaj o zdrowie Rainbow Dash.

– Uważaj, Twi – powiedziała Rainbow, krzywiąc się z bólu, gdy Rarity wylewała jakiś eliksir na jej ranę. – On się czai gdzieś tam po ciemku. Może cię zaskoczyć. A nie ukrywajmy, strzelasz dość wolno.

– Nieistotne – odparła Twilight, przywołując magię. Niebieska poświata otoczyła cały stryszek, a kobieta w skupieniu patrzyła na poddasze. Po chwili jej róg rozświetlił się mocniej i zaczął pulsować. Na jej czoło wystąpiły krople potu, a w

otaczającym ją milczeniu słyszeć było szybszy oddech, oraz zgrzytanie zębów. Ci zaś, którzy władali magią, czuli jak duża ilość energii krąży w powietrzu.

Aż nagle róg Twilight zgasł. Bandytka otarła pot z czoła i odetchnęła głęboko kilka razy.

– Gotowe – powiedziała, po czym ponownie aktywowała róg i przez drzwi pod dachem wyleciało ciało młodej, najwyżej siedemnastoletniej kobiety o szarozielonej sierści. W jej dłoni wciąż spoczywał rewolwer.

– Jak to zrobiłaś? – spytała Rarity, kończąc bandażować ramie Rainbow Dash.

– I co zrobiłaś? – dodała Rainbow.

– Zakłęcie skanujące, plus normalna telekineza pozwalająca skrócić kark ofiary – wyjaśniła Twilight. – Niezbyt optymalne rozwiązanie, ale w tej sytuacji dostatecznie szybkie i skuteczne. Z naciskiem na dostatecznie.

– Czemu nie robisz tak częściej? – spytała Rainbow, krzywiąc się, gdy Rarity zawiązała bandaż na jej ramieniu. – Przecież to jest kozackie. Po prostu kasujesz wszystkich w pokoju, jakby to była pestka.

– Nie jest. To jednak relatywnie wolna technika, a ponadto, wymagana energia rośnie eksponencjalnie wraz ze wzrostem kubatury pomieszczenia do skanowania, oraz zasięgiem na jakim trzeba używać telekinezy. Tak samo wzrosną wymagania dowolnego innego zaklęcia, którym mogłabym unieszkodliwić osoby wewnątrz.

– Ku... co? – Rainbow przekręciła głowę i spojrzała na Twilight pytająco. Normalnie zdarzało jej się nie rozumieć tego co mówi jej przyjaciółka, ale zazwyczaj potrafiła się domyślić. Teraz jednak było za dużo mądrych słów na raz.

– Jak pokój trochę większy, to magia bardzo dużo trudniejsza – wyjaśniła Twilight, krzywiąc się na świadomość, że musi tłumaczyć tak proste rzeczy. – Dobra, dość gadania. Możesz chodzić Rainbow?

– Jasne – powiedziała Rainbow Dash wstając, po czym robiąc kilka kroków. – Oberwałam w rękę a nie w nogę. Mogę biegać, skakać, latać i nawet kopać – dodała, kopiąc w zwłoki młodej dziewczyny, która ją postrzeliła. Ta jednak nie zareagowała. Bo nie żyła.

– To dobrze. Ponieważ pora zakończyć to spotkanie. Pinkie, zajmij się proszę górą. Fluttershy ci pomoże. Ja zaś zakończę sprawę naszych gospodarzy.

– Zabijesz ich wreszcie?

– Nie. Zapowiem koniec atrakcji.

Rarity i Rainbow spojrzały na siebie w milczeniu, po czym skinęły głowami. Chciały jak najszybciej się stąd wynieść, więc jeśli to miało pomóc, to od razu wezmą się do działania.

Gdy padł strzał, wszyscy turyści wzdrygnęli się, ale nie odwrócili wzroku. Nawet kobiety patrzyły jak tęczowowłosa bandytka uderza o ziemię, a potem podbiegają do niej zaalarmowane przyjaciółki.

– Łał, to naprawdę zaskakujące – stwierdził jegomość z fajką, inicjując kolejną dyskusję.

– Prawda. Cudownie zaskakujące – potwierdził inny mężczyzna, obejmując ramieniem żonę. – Nie sądzisz kochanie.

– Owszem. I dobrze jej tak. – mruknęła kobieta, patrząc krzywo na bandażowanie Rainbow Dash. – Choć mogli zastrzelić tą białą nierządnicę.

– Przyznam, że to naprawdę dobra iluzja – włączyła się starsza kobieta, wachlując się dłonią. – Widziałam wiele iluzji i ta jest naprawdę dobra. Ta rana wygląda naprawdę realistycznie.

– A patrzcie jak się krzywi kiedy ją przemywają. Musi dobrze grać – powiedziała z podziwem skrzydlata kobieta.

– Prawda. Choć poziom teatru w Manehattanie to nie jest – stwierdził mąż, kładąc dłoń na ramieniu żony.

– Niby nie sposób się nie zgodzić, ale musi pan pamiętać, że to nie jest teatr w Manehattanie – przypomniał mężczyzna z fajką. – Poza tym, tu trzeba umiejętności improwizacji. Przecież muszą być gotowe na różne decyzje takich turystów jak my. Przecież mogliśmy odpowiedzieć ogniem, albo próbować ucieczki. To musi być niebezpieczna praca.

– Ona dobrze improwizuje ból – pochwaliła kobieta w kapeluszu z piórami. – Zupełnie jakby naprawdę została postrzelona.

– Owszem – zgodziła się małżonka. – Choć początkowo nie szło im najlepiej. Moim zdaniem, były bardzo zaskoczone tym na kogo napadły. Może więc jednak to prawdziwy napad?

– Ej, nie za dobrze wam tam, gaduły – warknęła Applejack, ściągając na siebie ich spojrzenia. – Może jeszcze herbatki podać, co?

Pasażerowie spojrzeli po sobie, niepewni czy to sarkazm, czy może nie. Zanim jednak zdążyli coś powiedzieć, bandytka uniosła karabin i wymierzyła w najbliższego z turystów. Spojrzała na niego przez przyrządy celownicze, morderczo mrużąc oczy.

– Klękaj – warknęła. – Szybko.

Mężczyzna zamarł, czując na sobie nie tylko jej spojrzenie, ale też spojrzenia wszystkich. Po chwili jego kolana się ugięły i dotknęły ziemi.

– Moja przyjaciółka chce byście jeszcze chwilę pożyli, ale to nie znaczy, że nie mogę was nieco zmiękczyć, czy coś. Będzie nam się potem lepiej rozmawiało. O ile będzie jakieś potem.

Applejack machnęła mu lufą nad głową. Mężczyzna skulił się i padł niżej, opierając się na dłoniach. Niepewnie uniósł głowę i spojrzał na nią z dołu. Ona jednak rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie i szybko przeniosła wzrok na pozostałych.

– A wy na co czekacie? Już na ziemię! – warknęła. – Zrobicie galopem kilka kółek wokół wozu, to nie będziecie mieć siły na głędzenie bez sensu. No jazda!

– Um, wszyscy? – spytała podstarzała damulka. – Bo widzi pani, wołałabym żeby mi nie podwiało spódnicy – wyjaśniła, rumieniąc się. – To... nieobyczajne.

– Fakt, też bym wołała tego nie oglądać – mruknęła Applejack. – Dobra, pewnie znajdzie się tu jakiś szlachetny koleś, który przewiezie cię na własnych plecach. Co nie?

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie. Wszyscy byli gentlemanami, ale każdy z nich miał też odrobinę zdrowego rozsądku, która ostrzegała ich przed wzięciem na grzbiet zadania takiej wagi.

Wreszcie, ciszę przełamał ten chudy, którego Rarity nazwała pantoflem. Spojrzał na swoją żonę, uśmiechnął się do niej i poklepał się po plecach. Kobieta prychnęła, ale odwzajemniła uśmiech i usiadła bokiem na plecach swego męża.

To był impuls, który wystarczył, aby kolejny turysta się przełamał. Tym razem był to ten niski, nieco pulchny dyskutant.

– Pani pozwoli.

– Pozwolę – odparła starsza kobieta, siadając mu na grzbiet.

Jegomość z fajką też się poczuł w obowiązku, gdyż spojrzał na ostatnią stojącą kobietę. Ta jednak prychnęła tylko i opadła na ręce jak pozostali.

– Miałabym stracić całą zabawę? Mowy nie ma.

– No dalej, dość gadania. Galopem! – zawołała Applejack, szturchając lufą najbliższego z pasażerów. – Chcę widzieć jak się za wami kurzy, łajzy! – dodała, uderzając kolbą w tyłek kolejnego, przebiegającego na wszystkich kończynach pasażera.

Przedział bagażowy okazał się być mały i strasznie zakurzony. Pod wybitym oknem Fluttershy widziała plamy krwi. Nie wszystkie były jednak świeże, co musiało oznaczać, że ten wóz już wcześniej ktoś napadł. No ale pasażerowie nie muszą wiedzieć jak podróżuje ich bagaż. Dostęp do niego zamykały drzwiczki bez zamka i okienko z prawdopodobnie nigdy nie praną zasłonką. Do tego były zapewne szczere słowa kierowcy, że bagaż ułożony jest starannie i podróżuje nie gorzej od turystów.

A na bagaż ten składało się tuzin mniejszych i większych walizek, ustawionych po obu stronach pomieszczenia. Nie aż tak wiele jak się spodziewała Fluttershy, ale dość by przeszukanie wszystkiego zajęło sporo czasu. A raczej zajęłoby, gdyby Rarity nie wspomniała kiedyś, że tego typu bogaci ludzie nie są ekspertami w ukrywaniu kosztowności i wybierają oczywiste miejsca. Jak boczne, lub wewnętrzne kieszonki, albo skarpetki.

Pinkie Pie właśnie wyciągnęła z bocznej kieszeni walizki jakąś książeczkę i małą saszetkę. Książeczkę czekową odrzuciła nawet bez zaglądania do niej. I tak nie radziła sobie z czytaniem. To zawsze robiła Maud, albo Twilight. Ciekawsza była za to saszetka, której wewnątrz objawiło bryłki złota oraz gładko oszlifowane kamienie szlachetne. Rarity kiedyś jej mówiła jak się nazywa taki, wielofasetowy szlif, ale Pinkie zapomniała. Z resztą, to było nieistotne. Później przy przeglądzie się dowie.

– Jak ci idzie, Fluttershy? – spytała, zamykając walizkę i biorąc kolejną.

– Nie mogę otworzyć – stęknęła żółta kobieta, po raz kolejny próbując wsadzić szeroki nóż w szczelinę walizki z grubej skóry. Niestety bezskutecznie. Zarówno zamek jak i cała struktura skutecznie broniły dostępu do wnętrza.

– Może ci pomóc?

– W sumie, chętnie Pinkie. Masz jakiś pomysł jak to otworzyć?

– Oczywiście. Znam się na otwieraniu zamków i sejfów. Siostra mi pokazywała. A ona potrafiła otworzyć wszystko. Miała na to świetną metodę.

– Jakoś nigdy nie otwierałaś sejfów – zauważyła Fluttershy, oddając ciężką walizę w ręce przyjaciółki.

– Bo zawsze to robi Twilight, albo Rarity. A one też wiedzą co robią i to szybciej niż ja. No i ciszej.

Zanim Fluttershy zdążyła zapytać, jak można głośno otwierać zamki, Pinkie przejęła walizkę, po czym włożyła palce we włosy. Chwilę grzebała tam aż wreszcie wyciągnęła kilka lasek dynamitu różnego rodzaju. Spośród nich wybrała jedną z mniejszych i wsadziła ją sobie w zęby jak cygaro.

– Co robisz, Pinkie? – spytała zaskoczona bandytka.

– Otfieham zhamek – powiedziała Pinkie, chowając nadmiar dynamitu, po czym podała walizę przyjaciółce. – Phszytrzhymaj.

Fluttershy ujęła przedmiot. Jej przyjaciółka przywiązała laskę dynamitu, po czym podpaliła ją zapalniczką wyciągniętą z włosów. Gdy już lont zaczął syczeć, zatkała se palcami uszy i zamknęła mocno oczy, nie przejmując się tym, że Fluttershy trzyma walizkę z dynamitem o jakieś dwie stopy od jej twarzy.

Skrzydłata bandytka zrobiła wielkie oczy i zamarła. Nie wiedziała co zrobić i tylko patrzyła na lont powoli zbliżający się do końca. A gdy zniknął w czerwonej tutce, Fluttershy pisnęła i panicznie odepchnęła walizkę w stronę okna.

Potężna eksplozja wstrząsnęła całym pomieszczeniem, wyrwijac okienko i kawałek ściany. Kurz spowił wszystko sprawiając, że obie kobiety zaczęły kasłać.

Pinkie starła kurz i sadzę z twarzy, nie przestając się uśmiechać. Spojrzała w stronę walizki, z której została tylko rączka i wypalony ślad na podłodze.

– Chyba wzięłam za duży – stwierdziła nieco zbyt entuzjastycznie. – Ale i tak było fajnie!

– Za co? – jęknęła mocno okurzona Fluttershy

Twilight skończyła pomagać przy bandażowaniu Rainbow Dash i wtedy dostrzegła bardzo osobliwą scenę. Piątka turystów przebiegała obok niej na czworakach i skręciła za wozem. Co więcej, dwóch niosło na grzbiecie kobiety. Było to tym bardziej osobliwe, gdyż od strony galopujących turystów dochodziły okrzyki raczej radosne niż smutne. Zupełnie jakby dobrze się bawili.

Po chwili dostrzegła Applejack, która machnięciami karabinu i krzykami, zachęcała turystów do robienia drugiego okrążenia.

– Możesz mi wyjaśnić co robisz? – spytała, podchodząc do niej. Jej głos był spokojny i pozbawiony gniewu. Przemawiała przez nią jedynie akademicka ciekawość.

– Wyglądali jakby się nudzili, to im zajęcie znalazłam. Pobiegają chwilę wokół wozu to im się odechce gędzenia po próżnicy.

– Bardzo dobrze. Jak skończysz, możesz zapędzić swoje stadko do zagrody. Gdy tylko Pinkie i Fluttershy skończą przeglądać bagaże, znikniemy stąd. Oni też.

– Wreszcie ich zastrzelimy?

– Nie. Pozwolimy im odjechać. Kiedy tylko zrozumieją, że ten napad nie był mistyfikacją, z pewnością będą mocno... zmieszani.

– Dalej nie widzę w tym sensu.

– Potraktuj to jako wyzwanie, Applejack – odparła wymijająco Twilight. – Zabicie wszystkich pasażerów jest proste. Oszukanie ich jest dużo trudniejsze. A taka umiejętność się przyda, gdy spróbujemy swych sił w banku.

Applejack miała zamiar kontynuować, ale przerwał jej wybuch na poddaszu, który wyrwał małe okienko nad kabiną. Z dymiącego otworu wyrzała nieco osmolona głowa Pinkie Pie. Bandytka krztusiła się nieco, ale mimo tego się uśmiechała.

– Nic mi nie jest! – zawołała uradowana. – Otworzyłam zamek w walizce.

– A czy z walizki coś zostało? – spytała Twilight, unosząc brew.

– Tak. Dno.

Twilight przejechała sobie dłonią po twarzy, po czym westchnęła głęboko i spojrzała na Pinkie. Nie mogła jednak utrzymać załamania na twarzy. Te błękitne oczy na osmolonej twarzy i uśmiech kogoś bezwarunkowo szczęśliwego poprawiały w jakiś sposób nastrój.

– Dobra Pinkie. Zabierajcie znalezione kosztowności i wracajcie. Kończymy tę hucpę i znikamy.

– Spoko, Twi. A powiem ci, że trochę tam tego było. Fluttershy ma pełne kieszenie a ja mam trochę kamyczków.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Twilight. – Applejack, zapędź swoje stadko do środka.

– Się robi – powiedziała pomarańczowa kobieta, po czym wsadziła do ust dwa palce i zagwizdała głośno. – Stać! Koniec tego galopu. Prrrr!

Pasażerowie zatrzymali się, dysząc ciężko. Trzy okrążenia wokół wozu i to na czworakach to był dla nich widać spory wysiłek. Unieśli głowy, ale jeszcze nie wstawali, czekając posłusznie na dalsze polecenia.

– Cóż, to koniec naszego spotkania – oznajmiła Twilight, spoglądając na zegarek. – Możecie wstać i wrócić do kabiny. Początkowo zamierowałam was zastrzelić na zakończenie, ale dostarczyliście nam dość... rozrywki i środków, by pozostawić was przy życiu. Zatem sugeruję się przenieść do tego mobilnego przybytku, zanim zdecydujemy jednak wybrać pierwotne rozwiązanie.

Turyści powstali i jednym głosem krzyknęli: Dziękujemy. Następnie przed szereg wyszedł mężczyzna z fajką.

– Czy możemy prosić o pamiątkowe zdjęcie? – zapytał. – Byłby to świetny dodatek do historii, którą będziemy mogli dzięki wam opowiadać.

Stojący za nim turyści pokiwali entuzjastycznie głowami.

Twilight uniosła brwi i spojrzała na stojące obok Rarity, Rainbow Dash, oraz Applejack. One również były zaskoczone pytaniem, ale nie zaśmiały się. Choć tęczowowłosa ewidentnie się przed tym powstrzymywała.

– Co myślicie, dziewczyny?

– Podoba mi się ten pomysł – stwierdziła Rarity. – Czuję się doceniona.

– W sumie, czemu nie. Może kiedyś się takie zdjęcie oprawi i nad kominkiem powiesi – zaśmiała się Applejack.

– Wszystko jedno – mruknęła Rainbow, gdy Twilight na nią spojrzała. – Może być fajnie. A co ty myślisz, Pinkie?

– A o czym? – spytała Pinkie, podchodząca do grupy wraz z Fluttershy. Przez ramię miała przewieszoną niewielką torbę, z której wystawał plik zwiniętych, nieco pożółkłych kartek, w których Twilight szybko rozpoznała obligacje. Niestety później jej mina zrzedła, jak się okazało, że to prawie nic niewarte wojenne obligacje z południa.

– O tym by sobie zrobić zdjęcie pamiątkowe.

– Jak dla mnie bomba. A będzie można mieć potem kopię?

– Oczywiście, drogie panie. Mój brat ma kilka zakładów fotograficznych w Canterlocie, Manehattanie, Fillydelphii, Hoofington i jeszcze w kilku małych

miasteczkach. A z każdym rokiem ma ich coraz więcej. Zadbam by dostał kopię negatywu i mógł przygotować odbitki w dowolnym salonie. Za miesiąc będą panie mogły odebrać zdjęcia gdzie chcą – to mówiąc, wręczył im wizytówkę wyciągniętą z małej kieszonki na piersi.

Twilight przejęła ją i schowała.

– Dobrze więc. Proszę robić to zdjęcie, byle szybko.

Mężczyzna skłonił się i pobiegł do kabiny. Po chwili wrócił, taszcząc statyw, oraz małą walizeczkę, którą bandytki przeoczyły podczas przeszukania.

– Wprawdzie jestem tylko fotografem amatorem, ale mam odpowiedni sprzęt by to wyszło dobrze – oznajmił, rozstawiając nieco staromodny aparat. Następnie spojrzał w obiektyw, po czym znów podniósł głowę. – Dobra, proszę się ścięśnić. Zróbcie koledzy taką wąską, zabiedzoną grupkę, którą właśnie napadnieto. Okażcie przerażenie i niepewność. O tak, cudownie. Panie bandytki poproszę na pierwszy plan. Dokładnie tak. I groźne miny. To przecież napad.

Ekipie Twilight nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Applejack chwyciła rewolwer i wbiła go w bok najbliższego z turystów. Pinkie wycelowwała strzelbę w damulkę z wielkim kapeluszem. Rainbow wbiła jeden rewolwer w bok stojącego najbliżej mężczyzny, a drugi przystawiła mu do szyi. Fluttershy stanęła na skraju, biorąc na cel młodą kobietę ze skrzydłami. Rarity zaś zajęła pozycję za plecami żony tamtego „pantofla” i przyłożyła jej nóż do gardła, uśmiechając się przy tym do jej męża.

– No, już prawie gotowe – oznajmił mężczyzna, wysypując nieco magnezji na tackę aparatu. Następnie cofnął się, spojrzał i wrócił do reszty. – Za chwilę wyleci ptaszek – dodał.

Twilight zdążyła jeszcze przystawić mu swój przydługi rewolwer do brody i zrobić minę zimnego, wyrachowanego mordercy, gotowego zaraz uwiecznić jego mózg na zdjęciu.

Magnezja błysnęła, spalając się gwałtownie i wszyscy się rozluźnili. Aparat wypluł małą karteczkę, która sterczała ze szczeliny jak wywalony język. Właściciel ruszył po nią, ale Twilight uprzedziła go, przejmując ją magią.

– To tyle? – spytała, przyglądając się odbitce. – Spodziewałam się czegoś więcej po tak obszernym sprzęcie.

– To tylko taki dodatek by wiedzieć czy wyszło ostro – odparł niezrażony mężczyzna. – W aparacie wciąż jest negatyw do wykonania odbitek.

– Zatem nie będzie problemu jak to zabiorę – oznajmiła bandytka, chowając zdjęcie do kieszeni z tyłu spodni. – A teraz sugeruję zabrać sprzęt i wsiadać, póki jeszcze macie szansę obejrzeć to dzieło. Szybko!

Właściciel zebrał aparat i razem z resztą udał się do wnętrza wielkiego omnibusa. Twilight zamknęła za nimi drzwi, po czym magia roztopiła zamek. To raz na zawsze miało zakończyć ich spotkanie z turystami.

Applejack dorzuciła kolejną porcję węgla do paleniska wielkiego paromobilu, a siedząca na fotelu kierowcy Twilight, obserwowała wskaźnik ciśnienia. Już niedługo wskazówka dotrze do właściwego punktu i będą mogły zacząć grande finale.

– Dalej nie łapię czemu to robimy – jęknęła Rainbow, obserwując okolicę. – Trzeba było ich rozwalić i tyle.

– Ta, Rainbow ma rację. Za dużo z tym zawracania gitary. Chociaż zdjęcie fajne.

– A może Twilight chce ich wysadzić? – zasugerowała entuzjastycznie Pinkie. – Zróbmy to Twilight. Proszę. Dziś wysadziłam tylko walizkę.

Twilight westchnęła i wychyliła się z kabiny. Magią chwyciła za dźwignię przyspieszenia i pociągnęła ją nieznacznie, dzięki czemu parowy omnibus powoli ruszył przed siebie.

– Muszę wam coś przyznać – zaczęła. – Dzisiejszy napad zupełnie nie poszedł według moich założeń. A co gorsze, naprawdę nie miałam planu, jak wybrnąć z zaistniałej sytuacji. Gdyby nie ich *współpraca* to mogłoby się to dla nas skończyć nienajlepiej.

– Spokojnie Twi. Kto by się spodziewał, że spotkamy takie coś – pocieszyła ją Applejack, nie dając po sobie poznać, że zaskoczyło ją wyznanie przyjaciółki. Nie ją jedną z resztą.

– Dokładnie, moja droga – poparła ją Rarity. – Sama nigdy bym się nie spodziewała takiej wycieczki. A nie chwaląc się, bywałam na salonach i wiem jak potrafią myśleć bogacze.

– Ta, nie wątpię – rzuciła złośliwie Rainbow, a Pinkie zachichotała.

– Ja uważam, że zrobiłaś wszystko dobrze, Twilight. Nie możesz się winić za coś tak nieprzewidywalnego – powiedziała Fluttershy, grzebiąc sobie palcem w uchu. Tamten wybuch na górze nieco ją ogłuszył.

– Dokładnie. A swoją drogą, czemu nie chciałaś ich posłać do piachu? Przecież niebyłoby tego cyrku.

– Właśnie. Tak chciałam ich wysadzić. Może jednak? – spytała Pinkie, patrząc na odjeżdżający powoli paromobil. Jeszcze by go dogoniła.

– Cóż... – zaczęła Twilight, ruszając w stronę, z której przyszły kilka godzin temu. W jej umyśle odbijało się pytanie zadane przez przyjaciółkę. I choć znała na nie odpowiedź od początku, to wciąż nie była pewna czy zdradzić się z tym. Bo choć sama nie miała problemu z podjętą decyzją, to trochę obawiała się, co powiedzą jej przyjaciółki. – Nie wiem – powiedziała wreszcie, wybierając drogę kłamstwa. – Zły dzień. Albo skrupuły.

– Aha. Bywa. A powiedz Twi, zarobiliśmy coś na tym cyrku? – spytała Rainbow, wlokąc się z tyłu. – Czy nam figa z tego wyszła?

– Nie mogę jeszcze określić. Portfele trochę biżuterii, którą zebrała Pinkie, deringery i zawartość walizek. Raczej napadowi na bank to nie dorówna, aczkolwiek myślę, że możemy się pozytywnie zdziwić. Bierzmy też pod uwagę, że ten skok wymagał mniejszego nakładu kosztów i miał niższy poziom ryzyka niż dowolny bank, czy też prawdziwy dyliżans pocztowy.

– Eee... aha. Ale następnym razem sobie odbijemy.

– Owszem. Myślę, że mam już nawet plan. I to nie będzie dyliżans. Tylko właśnie bank.

I tak się skończyło to dziwne spotkanie. Naprawdę. Wiem, że to brzmi jak tanie czytadło za ćwierć bita, ale daję swoje słowo, że tak było. Spotkałem się z każdym z pasażerów, którzy brali udział w tamtej wyprawie i bardzo dokładnie wypytałem o to. I choć w ciągu kilku lat ich historie spuchły o dodatkowe wydarzenia, to udało mi się wyłuskać z nich to, co się najprawdopodobniej stało. Ponadto, miałem okazję zobaczyć tamtą fotografię. Nawet dwa razy. Więc mogę zaświadczyć, że ten napad się odbył.

Z resztą znacie mnie i wiecie, że nie ubarwiam. A przynajmniej nie zanedto.

Wracając jednak do tematu, po wysłaniu turystów na wycieczkę bez kierowcy, banda Twilight wróciła do swojej tymczasowej kryjówki. Jeszcze nie tej, którą zorganizowały w opuszczonej kopalni. Ta była małą chatką na uboczu, niegdyś zajmowaną przez myśliwych. Przynajmniej do czasu póki Fluttershy ich nie upolowała. Podobno bez wyrzutów sumienia, bo zabijali również do indian. Tam podliczyły łupy i okazało się, że nie było tak najgorzej. Znaczący, z tego co pamiętam, to był ich najslabszy, udany napad w karierze, ale i tak zarobiły więcej niż przeciętny, uczciwie pracujący człowiek zarabia w tydzień, albo i dwa. Ale wszystko to szybko przepuściły. Głównie na przygotowanie kolejnego skoku i alkohol.

Jeśli zaś chodzi o turystów, to przez godzinę jeździli w kółko, póki nie skończyła się woda w kotle, a ogień w palenisku nie przygasł. Gdy ich wóz wreszcie stanął, odważyli się wyjść i od razu natknęli się na ostatnią niespodziankę od bandy Twilight. Ale na szczęście eksplozja była niewielka i nikogo nie raniła nawet. A kiedy już się otrząsnęli i zobaczyli prerię, oraz brak jakiejkolwiek obsługi wozu, wreszcie dotarło do nich, że faktycznie padli ofiarą napadu, i otarli się o śmierć. To było dla nich wstrząsające. Dopiero po kilku godzinach nerwów, paniki i kłótni udało im się pozbierać i ponownie uruchomić pojazd. A potem przez całą noc jeździli po okolicy aż wreszcie, przypadkiem, trafili do miasteczka, z którego przyjechali. Od razu zgłosili napad w biurze szeryfa, ale Wredna Szóstka zdążyła już wyparować. A dwa tygodnie później napadły na starannie wybrany dyliżans pocztowy, zdobywając obligacje, gotówkę i kamienie szlachetne.

Tak, Twilight zmieniła plany. Bywa

Aczkolwiek, tamten napad na dyliżans pocztowy, to był chyba ostatni napad Wrednej Szóstki na jakikolwiek dyliżans. A przynajmniej ostatni o jakim słyszałem. Bo napad pod Little Rock to niestety nie ich dzieło, choć tak się powszechnie uważa. Niezależnie od tego, jak by media tego chciały, pod Little Rock napad zorganizowała banda Swift Shoes, która z Wredną Szóstką nie ma nic wspólnego. Poza tym, z całym szacunkiem dla Swift, ale nie dorastają Szóstce do pęcin. Zwyczajnie nie ta liga.

Jest jeszcze jedna „korzyść” płynąca z tego, ciekawego spotkania. Otóż, Wredna Szóstka faktycznie doczekała się reklamy na salonach. Zamożni, którzy zorganizowali sobie tę wycieczkę nie omieszkali podzielić się tym zdarzeniem, a ich opisy bandytek pozwoliły zidentyfikować na listach gończych te konkretne. Nie jestem też pewien, czy to właśnie dzięki temu ich banda nie została nazwana Wredną Szóstką. Bo ten napad był, zdaniem siódemki turystów, dość wrednym zagraniem.

No i najważniejsza rzecz, jaka z tego wynika. Osobista bym rzekł. To właśnie historia tego napadu, oraz widok tego zdjęcia w gazecie sprawiły, że zacząłem się tak mocno interesować Wredną Szóstką i uważać ją za jeden z najważniejszych gangów w historii Equestrii. A ich dalsze skoki i spotkanie z nimi upewniły mnie w tym przekonaniu. Ale o tym już chyba wspominałem.

Na zakończenie dodam jeszcze, że miałem kiedyś okazję porozmawiać z Twilight Sparkle na temat tego, dlaczego tak naciskała by nie zabijać turystów. Wyznała mi wtedy, że wśród nich był jej odległy krewny, którego spotkała tylko raz, zanim poszła do szkoły. I choć on jej nie rozpoznał, to wystarczyło by powstrzymała się przed ruszeniem łatwą drogą. Nie wiem czy kiedyś wspominała o tym przyjaciółkom, więc umyślnie to pominąłem w opowieści i przytaczam dopiero tu. Pomyślałem, że tak będzie lepiej.

A tymczasem zostawiam was z tym, by czasami się zastanowić, zanim się komuś nie uwierzy. Bo bywa, że nawet najdziwniejsza historia może być prawdą. Jak w tym właśnie przypadku.